

B  
WF  
UW

7424

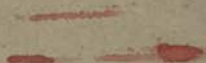


**BIBLIOTEKA  
SPOŁECZNO  
EKONOMICZNA**



**PROLETARIAT.**

<http://rcin.org.pl>



7424

W. SOMBART

# PROLETARJAT

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

D-ra J. B.



WARSZAWA

Nakładem Księgarni Naukowej, Krucza 44.

1907.

SEMINARIUM SOCJOLOGICZNE  
Uniwersytetu Warszawskiego



Połączone Biblioteki WFiS UW, IFiS PAN i PTF

**U.7424**



3900742400000

H-69485

---

Czcionkami Drukarni Naukowej, Warszawa, Hoża 60.

<http://rcin.org.pl>



Proletariatem nazywamy tę społeczną klasę w naszym nowożytnym ustroju, która składa się z najemnych pozbawionych własności robotników — a więc z tej części ludności, która, nie posiadając środków do samodzielnego bytu gospodarczego, jest zmuszona na podstawie wolnego kontraktu najmu oddawać czasowo za opłatą swoją siłę roboczą kapitalistycznemu przedsiębiorcy. Istnienie zatem proletariatu uwarunkowane jest kapitalistycznym ustrojem gospodarczym, który w nowej postaci od schyłku wieków średnich stopniowo rozprzestrzenił się po Europie, Australji, Ameryce, a w części Azji i Afryce.

Należy jednak uprzytomnić sobie następujące jego cechy charakterystyczne: kapitalizm jest społecznym systemem gospodarczym, którego istota polega na tym, że w nim wszelkie gospodarcze procesy podporządkowane są najwyższemu celowi, mianowicie pomnażaniu sumy pieniężnej (kapitału). Ludzie, spełniający w gospodarstwie kapitalistycznym funkcję kierowniczą, będący subjektem, podmiotem gospodarstwa, czyli kapitalistyczni przedsiębiorcy, są niejako zarządcami owych sum pieniężnych, które dążą do powiększenia swej wartości. Oni są pełnomocnikami, wykonawcami potęgi kapitału, która jak przeznaczenie nad niemi panuje i mniej im daje swobody, niż para lokomotywie, gdy ją pędzi po szynach w oznaczonym kierunku. Poruczone sobie zlecenie wyko-

nywają oni w ten sposób, że do swej służby biorą mnóstwo robotników i starają się osiągnąć zysk z jednej strony przez udzielanie możliwie niskiej zapłaty, a z drugiej strony przez możliwie najkorzystniejsze spieniężanie wytworzonych towarów.

Nas obchodzą tylko przedmioty tego systemu gospodarczego, mianowicie owi nie posiadający zarobkujący robotnicy. Będziemy się starali wyrobić sobie pojęcie o istocie tych pracowników. Pojęcie to zaś odnosić się będzie do ogólnych cech tej warstwy ludności. Wiemy więc doskonale, że istnieje wielka różnorodność w proletariacie, że składa się on z mężczyzn, kobiet i dzieci; że są dobrze i źle wynagradzani pracownicy; że powinniśmy odróżniać rozmaite ugrupowania zależnie od sfery kapitalizmu; że istnieje proletarijat wiejski, przemysłowy i handlowy; że zależnie od narodowości najrozmaitsze można spotkać typy proletariatu; że z biegiem czasu proletarijat ten zasadniczo przeobrażał się zarówno co do swojej zawartości, jak i wydajności pracy. To wszystko jednak nie powinno nas obchodzić w tej chwili i odwozić od głównego celu, mianowicie od rozpoznania istoty proletariatu jako całości, w odróżnieniu od istoty innych grup ludności.

Przedewszystkiem należy sobie zdać sprawę z ilości proletariatu, a potem z jego znaczenia w społecznym ustroju.

\* \* \*

Proletariuszami w ścisłym tego słowa znaczeniu są wszyscy zarobkujący robotnicy, zatrudnieni w kapitalistycznych, małych czy wielkich przedsiębiorstwach. Niewątpliwie jest rzeczą sporną, jakie zakłady zaliczać wypada do wielkich przedsiębiorstw. Należy tu zostawić pewną swobodę i zadowolić się oznaczeniem pewnego minimum i maksimum. Bez względu na kapitalistycznymi są przedsiębiorstwa, za-



trudniające więcej niż 20 osób. Niemiecka statystyka przemysłowa—a więc dotycząca przemysłu, hodowli i komunikacji—zanotowała (r. 1895) 265,317 oficjalistów i 3,656,254 robotników, razem 3,921,571 osób. Odliczywszy 21,571 oficjalistów, których można by zaliczyć do burżuazji — pozostanie jeszcze 3,900,000 proletariuszów, przyczym robotników państwowych i gminnych włączyłoby należało do tej samej kategorii. Gdybyśmy jednak nie uwzględniali tych ostatnich, pozostanie około  $3\frac{1}{2}$  mil. niezaprzeczalnie bezwzględnych proletariuszów, którzy razem z rodzinami tworzą 13—19% ogólnej liczby ludności. Doliczyć jednakże trzeba robotników, którzy pracują w kapitalistycznych gospodarstwach wiejskich. Dokładnej liczby robotników tej kategorii określić niepodobna.

Przyjmijmy przeciętnie  $\frac{1}{3}$  wiejskich robotników—okrągłe  $1\frac{1}{2}$  miliona, co uczyni razem 5 milionów, a łącznie z rodzinami mniej więcej piątą część ludności. A jednak warsztaty przemysłowe, zatrudniające mniej niż 20 osób, należą również do przedsiębiorstw kapitalistycznych. W tej kategorii spotykamy najczęściej zakłady, zatrudniające 6—20 osób; było w nich w 1895 r. 126,220 oficjalistów i 1,224,006 robotników — razem 1,350,226 osób zatrudnianych za pewną opłatą. Doliczywszy do tego 650,000 robotników wiejskich, dojdziemy do liczby 2 milionów, co podniosłoby ogólną cyfrę proletariuszy do 7 milionów. Byłoby to około 33% ogółu ludności. W takim zaś razie można śmiało powiedzieć, że klasa czystych, niewątpliwych proletariuszów stanowi blisko trzecią część ogółu ludności w Niemczech.

Bezwątpienia taki stan ugrupowania ludności jest niemal wyłącznie wynikiem ostatniego stulecia. Dziś proletarijat stanowi blisko trzecią część ludności—a przecież już Marks w 1847 r. powiedział: „Ruch proletariacki jest samoistnym ruchem olbrzymiej więk-

szości w interesie tejże olbrzymiej większości”. Na owe czasy była to „olbrzymia” przesada nawet odnośnie do krajów zachodniej Europy, zwłaszcza, jeżeli przyjmujemy tak ścisłe pojęcie proletariatu, jak to czynił Marks.

Stan rzeczy jednakże inaczej się przedstawi, jeżeli do proletariatu typowego doliczymy proletariaty pojęte w szerszym znaczeniu tego słowa—całą masę ludzi nie posiadających, „il popolino”, „peuple” w najszerszym tego słowa pojęciu. Ludwik Blanc, mówiąc o ludziach, którzy, nie posiadając żadnego kapitału, zależni są zupełnie od innych, lub mając niby własne wiejskie gospodarstwo lub warsztat, prowadzą egzystencję nędzną, powiedzmy wprost proletariacką—może takich obywateli nie miał na myśli, ale naprawdę ich wskazał.

Uwzględnwszy to wszystko—dochodzę do przekonania, że niemiecka statystyka zawodowa i przemysłowa z 1895 r. pozwala na następujący rachunek proletariackiej lub względnie proletariackiej ludności w Niemczech:

1) Osoby zatrudniane za pewną opłatą w przemyśle, handlu, komunikacji, gospodarstwie wiejskim, nie wyłączając oficjalistów . . . . .	13,438,377
Rodziny . . . . .	12,327,571
2) Praca zarobkowa niestała, służba domowa i t. d. . . . .	432,491
członkowie rodzin . . . . .	453,041
3) Niżsi urzędnicy włącznie z podoficerami i prostymi żołnierzami armji . . . . .	769,822
rodziny . . . . .	270,249
4) Czeladź . . . . .	1,339,316
5) Majstrowie . . . . .	1,035,580
rodzina . . . . .	1,671,468
Do przeniesienia. . . . .	31,737,915



	Z przeniesienia. . .	31,737,915
6)	Samoistnie prowadzący warsztaty w przemyśle domowym (zakłady zatrudniające 1 osobę) . . . . .	232,033
	rodziny . . . . .	258,232
7)	Samoistnie prowadzący zakład przemysłowy lub komunikacyjny (zatrudniający 1 osobę) . . . . .	453,805
	rodziny . . . . .	791,372
8)	Rolnicy na gospodarstwach mających mniej niż 2 ha obszaru . . . . .	525,297
	rodziny . . . . .	1,107,659
	Razem . . .	35,106,313

osób należących do „pospółstwa”, ludności pracującej: stanowi to 67,5%, t. j. więcej niż dwie trzecie ogółu ludności.

Nie jest to bezwątpienia „olbrzymia”, ale w każdym razie znaczna większość ludności—niemal cała nadwyżka, jaką wiek XIX dał Niemcom w zakresie zaludnienia, zwłaszcza jeżeli od tej cyfry znowu odejmiemy wliczone pewne kategorie drobnej burżuazji (wyższych oficjalistów i t. d.), oraz niewątpliwie tą liczbą objęte małomieszczańskie sfery.

Z mniejszym mozołem można było dojść do tego samego rezultatu, gdybyśmy się oparli na podstawie statystyki podatku dochodowego. Wyżej wymienione 35 mil. bowiem stanowią kategorię osób, płacących mniej niż 900 marek podatku dochodowego rocznie. Osób takich w Prusach statystyka podała 21,165,032, co stanowi 68,7% ogółu.

Ilościowy stosunek, wykazany w Niemczech, jest mniej więcej ten sam we wszystkich krajach o kulturze kapitalistycznej. Nie ulega wątpliwości, że ilość typowych proletariuszów (w znaczeniu technicznym na tym miejscu przyjętym) rosnać będzie w miarę dalszego rozszerzania się kapitalistycznego systemu gospodarczego. Masa jednak proletariatu

już dziś jednak jest tak wielką, że rodzaj jego bytowania, a przede wszystkim ukształtowanie się proletariackiej „psyche” coraz bardziej staje się decydującym czynnikiem w charakterze całego społeczeństwa. Socjologowie i filozofowie mają przeto coraz większy interes badać ten świat proletariatu. Tutaj postaramy się przeprowadzić także badanie, mianowicie chcemy przyjrzeć się rodzajowi bytowania proletariatu i jego duchowej właściwości.

\* \* \*

Chcąc wiedzieć, jakiego ducha dzieckiem jest proletariusz — postaramy się najpierw poznać, czym on nie jest. A o tym dowiemy się najlepiej, jeżeli zbadamy, czym już nie jest — to, co z biegiem czasu i w miarę kształtowania się najbliższych warunków życiowych utracił.

Dla czego utracił, dla czego wogóle proletariatusz przechodził przez pewne właściwe fazy rozwoju:—są to kwestje, których roztrząsanie wchodzi w zakres teorii kapitalizmu. Tutaj można tylko mimochodem o tym mówić. Przede wszystkim należy uprzytomnić sobie pierwszorzędno znaczenia okoliczność, że proletariatusz jest typowym przedstawicielem rodzaju ludzkiego, nie związanego ani zewnętrznymi ani wewnętrznymi węzłami z naturą, w pośród której stanął człowiek, — zwłaszcza tam, gdzie kapitalizm wciągnął ludność do wielkich miast lub ognisk przemysłowych, gdzie zatytem widoczne jest specjalne zjawisko prawidłowego wzrostu proletariatuszu. Dziecko robotnika nie zna tych tajemniczych rozkoszy, jakie na każdym kroku w przeróżny sposób nastęrcza pastuszkowi natura. Dziecko robotnika nie słyssało śpiewu ptaka — nigdy nie wybierało gniazd ptasich; nie wie, co znaczą chmury płynące po niebie, nie rozumie odgłosu burzy i piorunów. Dziecina nie rośnie w otoczeniu bydła domowych i nie zna ich przy-



zwyczajęń. Ztraca ona instynktowne poczucie zabezpieczenia istnienia. W tysiącnych przeróżnych wypadkach życia wieśniak zawsze znajdzie naturalną, zdrową radę:—w takich razach mieszkanię fabryki, czy domów robotniczych, bywa bezradny.

Nie zna nic poza tym, czego go nauczono w szkole lub co wyczytał w książce—z wyjątkiem złych nałogów, które nabył na ulicy w gronie podobnych sobie towarzysząów. W ten sposób traci robotnik wszelkie poczucie natury. Zegar jego życia nie idzie zgodnie z odwiecznymi zjawiskami natury, jak dzień, noc, lato, zima. Rytm jego życia jest wciąż sztuczny—aż w końcu gubi się zupełnie, traci równowagę.

Żyje życiem sztucznym, które przestało być samorodnym bytem, a stało się skomplikowaną kombinacją, stosowaną do nauki szkolnej, gazet i książek—zegarków kieszonkowych i parasoli—kanalizacji, polityki i światła elektrycznego.

Ale proletariusz utracił nietylko poczucie przyrody — zerwał przedewszystkim te szczególne węzły, jakie łączą człowieka z miejscem rodzinnym, z miejscem, gdzie igrał będąc dziecięcim, gdzie pogrzebał rodziców, gdzie poznał ukochaną, gdzie ognisko domowe założył.

„Proletariusz nie ma ojczyzny” — właściwie zaś nie ma miejsca rodzinnego, do którego by się przywiązał, do którego by wracały jego myśli i wspomnienia, które by na nim właściwością swojej istoty niezatarte wywarły piętno. Dla tego brak mu tych łagodnych, sentymentalnych, irracjonalnych rysów charakteru, jaki spotykamy w innych warstwach ludności.

Proletariusz nie ma miejsca rodzinnego. Bo czyż można się czuć jak w miejscu rodzinnym na pustej ulicy przedmieścia, w podwórzu, na czwartaku? Czy może czuć się jak w ognisku rodzinnym w zady-mionym, cuchnącym mieście fabrycznym, w którym go, niby bydło w oborze, zamknął kapitalizm z całą

masą istot jemu podobnych? Nie, nie zamknął, bo to wyrażenie odnosi się do wygodnego miejsca dla zwierząt—raczej rzucił na stos, jak kupę kamieni.

Czyż „izbę”, w której mieszka cała rodzina tuż o ścianę ze stu innymi rodzinami—możną uważać za „ognisko rodzinne?” A przecież statystyka mieszkań uczy nas, że połowa ludności wielkomiejskiej, więcej jeszcze, bo z pewnością  $\frac{3}{4}$  robotników najemnych posiada nie większą przestrzeń na mieszkanie, jaką była owa „izba”.

A nawet takiego „sześcianu”, który zaledwie na miano mieszkania zasługuje (poznamy je bliżej jeszcze), którego wąskość i pustka i urządzenie wykluczają wszelką możliwość wygody i przyjemności—nawet takiego kąta nie zajmuje robotnik dłużej. Wędruje z jednego mieszkania do drugiego, czy to dla tego, że pokłócił się z gospodarzem, czy dla tego, że zmienił warsztat pracy. W mieście takim, jak Wrocław, corocznie 200,000 osób zmienia mieszkania: w tej liczbie przeważa naturalnie proletarjat.

I tak, jak w obrębie jednego miejsca zamieszkania przenosi się z izby do izby, tak samo wędruje z miasta do miasta, z kraju do kraju, gdziekolwiek go wzywa „konjunktura”, łaknący siły roboczej kapitalizm. Ludność naszych krajów kulturalnych porwana została w ruch nieustający, przedewszystkiem dzięki wędrownikom proletariatu. Do wielkich miast corocznie przyływają setki tysięcy wędrowników (do Berlina 2—300,000), i znaczna ich część odpływa znowu. Ludność całych prowincji przerzuca się z jednej części państwa do drugiej i poszukuje pracy. W lecie i w jesieni jako obieźysasi wędrują Szlązacy na zachód — a opróżnione przez nich miejsca zajmują Polacy z Galicji i z Królestwa. Włosi budują koleje w Niemczech, domy w Zurychu i Marsylji.

Jeżeli tacy robotnicy wędrowni zazwyczaj powracają do domu (z którym zresztą skutkiem ciągłej zmiany miejsca zerwali bliższe stosunki) — to z dru-



giej strony miliony robotników corocznie opuszczają na zawsze wieś rodzinną, ażeby gdzieindziej szukać środków do życia.

Od setek lat trwające stosunki osiadłości w ten sposób zmieniają się zupełnie. Narody, które żyły w oddaleniu od siebie, zbliżają się i mieszają. Czesi zajmują stare, niemieckie siedziby w Czechach i Niższej Austrii, Polacy osiedlają się silnie w Westfalji, istna mieszanina narodów pokrywa niezaludnione lub słabo zaludnione krainy, jak Ameryka Północna, dokąd w ostatnich czasach przybyło z górą milion emigrantów, przeważnie z Rosji, Austrii i Włoch.

„Proletariusz nie ma ojczyzny”. Bezdomny, bez odpoczynku pędzi na ziemi żywot tułaczy. Zmuszony wyrzec się wszelkich węzłów serdecznych, łączących go z ziemią rodzinną, ponieważ pozbawiony jest ojczyzny—wyzbywa się również wszelkich cech lokalnych, jakie nadaje człowiekowi stały pobyt w jednej miejscowości. Ojczyzną jego jest świat. Jest obywatelem całego świata. Nie czuje zapachu ziemi — traci niemal grunt pod nogami. Bodaj jedno mu tylko pozostało, co go od innych odróżnia: mowa ojczysta. Ale i tę zatracą w takim młynie ludów, jakim są Stany Zjednoczone. Tutaj w wielki lej wpadają zupełnie odrębne grupy narodowe i po pewnym czasie dołem wychodzą już jako jednolita zbita masa, mówiąca jednym językiem; te same zapatrywania, te same mody, te same pieśni rozbrzmiewają tam, gdzie do niedawna jeszcze panowała taka rozmaitość.

I pęka jeszcze jedna nić, która wiązała człowieka z konkretnym światem rzeczy: indywidualne posiadanie. Jest to zjawisko, na które nie można patrzeć bez głębokiego wzruszenia, że dziś ogromna masa ludzi w rzeczywistości nie posiada nic, coby „swoim” nazwać mogła. Nawet najbiedniejsi posiadali dawniej kawałeczek pola, chatkę maleńką, parę bydła, drobnostkę wreszcie, do której sercem przy-

wrzeć było można. Dzisiejszy proletarjusz — jeżeli nie każdy, to przynajmniej bardzo wielu, nie już z tego wszystkiego nie posiada. Na ręcznym wózku mieści się cały dobytek robotniczej rodziny, gdy wędruje z miejsca na miejsce. Kupa starych rupieci — oto wszystko, czym proletarjusz indywidualne swoje istnienie może wykazać.

\* \* \*

Proletarjusz zerwał nietylko węzły, od tysiąca lat łączące człowieka ze światem rzeczy — węzły, które były dotychczas podstawą wszelkiej kultury: nie lepiej wiodło mu się w stosunku człowieka do człowieka. Żelazną stopą kapitalizmu stratowane zostały wszystkie te związki społeczne, które człowieka dawniejszych czasów, zwłaszcza przeciętnego człowieka z pospólstwa, niewątpliwie krępowały, ale jednocześnie go podtrzymywały, wspierały ekonomicznie i moralnie. Proletarjusz dzisiejszy nie zna tego, czym była dawniej wioskowa gromada, sąsiedztwo, społeczność rodzinna, zawodowa, czy robotnicza. Proletarjusz jest osamotniony, odosobniony, z towarzyszami niczym ściślej nie związany — niby ziarno w ogromnej kupie piasku — niby liść z drzewa oderwany, którym wiatr na powierzchni ziemi miota.

\* \* \*

Na wsi, a nawet w małym miasteczku wszystkich mieszkańców łączy pewna wspólność interesu. Często się kłócą sąsiedzi, wymyślają sobie wzajemnie, ale w gruncie rzeczy czują, że są sobie bliźcy i dla tego w potrzebach i kłopotach chętnie idą ławą. W ciasnym kółku oryginalnych zwyczajów i nawyków, w których całe pokolenia się wychowują — jednostka zwraca się zawsze pod ochronę, rzekłbyś, murów i wałów fortecznych, zabezpieczających od



wszelkich napadów zewnętrznych. Od kolebki do grobu towarzyszy mu ta opieka gromady i wskazuje mu drogę, którą postępować powinien. Pieśni, które śpiewa, uroczystości, które obchodzi, Bóg, do którego się modli, wróg, którego zwalcza, suknie, które nosi—wszystko to wskazuje mu gromada, stanowiąca jego najbliższe otoczenie. Gromada myśli za niego, czuwa nad nim, aby nie potknął się i nie zboczył z prostej drogi. Poczucie tej wspólności z gromadą towarzyszy mu w wędrówkach po obczyźnie, tkwi głęboko w duszy; gdziekolwiek bowiem wszedł, czy zatrzymał się, wszędzie ściagały go zapatrywania, zwyczaje i nawyki, wpajane mu i jego pradiadom od dzieciństwa jako coś, zupełnie naturalnego, co nie ulega najmniejszej wątpliwości. Dokądkolwiek wędruje, idą za nim wspomnienia dzieciństwa, wiążą go tysiące węzłów sąsiedzkich i rodzinnych.

Łączności tego rodzaju proletariusz nie zna. Zarówno jak nie ma ojczyzny w naturalnym tego słowa pojęciu — jak nie zna miejsca, za którymby tęsknił — tak nie posiada ojczyzny w społecznym tego słowa znaczeniu: nie zna żadnej wspólności z sąsiadami, z którymi wiązałyby go jednakie myśli i uczucia. Nie ma żadnych szczególnych zwyczajów, nie nosi odrębnego ubioru, nadającego mu cechę lokalną, nie nuci wiejskich piosenek, nie zna wiejskich przysmaków: wszystkie jego obyczaje i przyzwyczajenia są wspólne całemu światu; w tym względzie również jest naprawdę dzieckiem całego, nowego świata.

Proletariusz nie zna także węzłów wielkiej rodzinnej grupy, która ludność wieśniaczą najczęściej skupia w ściślejszą gromadkę. Wszystkie owe węzły zależności i autorytetu, wytworzone między młodszym a starszym pokoleniem z biegiem czasu w wieśniaczych rodzinach—proletariuszowi są zupełnie nieznanne. Nie doznaje on też uczucia bezpieczeństwa

i przynależności, która tego rodzaju łączność budzi we wszystkich członkach rodziny.

Ważniejszą jednak i lepiej jeszcze właściwością proletariatu charakteryzującą rzeczą jest ta okoliczność, że rodzina w ścisłym tego słowa znaczeniu, taka, na jakiej opiera się istnienie klas posiadających, dla proletariusza traci znaczenie i siłę łącznika coraz bardziej, do tego stopnia, że z czasem nawet ten rodzaj wspólności zanika w proletariacie zupełnie. Zjawisko to posiada znaczenie ogromne i dla tego musimy mu się przyjrzeć zblizka.

\* \* \*

Rodzina w formie tej, jaką w ciągu wieków w krajach zachodniej kultury wytworzyli chłopcy i mieszczaństwo, oznacza wspólnotę trojaka: odżywiania się, mieszkania i wychowywania dzieci.

W dawniejszej formie rodzina wieśniacza była jednocześnie wspólnotą wytwarzania i spożywania.

Jednostka gospodarcza, którą obrabiała rodzina chłopska—a więc mąż, żona i dzieci przynajmniej do chwili pełnoletniości—jest dość wielka, aby dać pracę i utrzymanie wszystkim członkom familji. Gospodarstwo jest urządzone stosownie do naturalnych właściwości poszczególnych członków rodziny. Rozumie się, że wspólnota odżywiania jest w takim razie jednocześnie gospodarstwem konsumpcyjnym. Produkty wytworzone we własnym gospodarstwie po większej części w tym samym gospodarstwie są dalej przetwarzane i na spożycie przeznaczone. Innymi słowy: w domu szlachtowano bydło, pieczono, przyrządzano zapasy, wyrabiano świece i mydło, tkano i szyci odzież. Z całej tego rodzaju wspólnoty w wielkomiejszczańskiej czy małomiejszczańskiej rodzinie pozostała część nieznacząca: gospodarstwo wytwórcze skurczyło się,—tak jak skurczyły się pola, łąki i ogrody. Pod



wpływem społecznego gospodarczego i technicznego rozwoju coraz bardziej zanika wytwarzanie we własnym gospodarstwie artykułów spożywczych. Nie szlachtuje się już u siebie bydła, nie robi się już zapasów — w domu nie zajmują się tkaniem i szyciem odzieży: za tym idzie zaniechanie wyrobu świec i mydła, a wreszcie pieczenia, prania, szycia w domach rodzin wielkomiejskich; dziś potrzeby te przeważnie załatwiają się na rynku ogólnym. Jednakże mimo to cechą życia rodziny obywatelskiej pozostaje: „własne ognisko”, przy którym sporządza się pokarmy w celu wspólnego spożycia. Jeszcze gospoia jest wszechwładną, dumną panią swej kuchni—jeszcze pan domu woli proste potrawy, sporządzone ręką żony, niż smakołyki w restauracji; jeszcze o oznaczonej porze gromadzą się członkowie rodziny przy wspólnym stole. Jest to rytm, który reguluje codzienne życie w szerokich kołach społeczeństwa.

Można żartować z tej materialnej podstawy, na której dotychczas opierała się rodzina — można ją uważać jako niezgodną z ideałem wyśnionym o małżeństwie i spólnocie rodzinnej—nie wolno jednak niedoceniać wielkiego znaczenia, jakie ona bezwątpienia posiadała w kulturalnym rozwoju ludzkości. Ta podstawa materialna niewątpliwie nadała spoistość i moc spólnocie rodzinnej. Ona była największą siłą przyciągającą dla mężczyzny i kobiety, na której opierały się najczęściej najważniejsze stosunki między poszczególnymi członkami rodziny. Ona wprowadzała ład w życie szerokich mas, ona wzmacnia poczucie solidarności w małych grupach ludzi. Wspólnie spożywany posiłek jest pierwszym wskaźnikiem zapoczątkowanego uobyczajenia. Taka łączność odróżnia „dzikiego”, który jeszcze samotny spożywa swój posiłek w dowolnej chwili wówczas, gdy głód go do tego zmusił, od człowieka kulturalnego, jak dotąd nam się przedstawiał.

Dalej rodzina polega na spólnocie mieszkania. Ści-

ślejszemi węzłami związani krewni mieszkają razem w sposób odpowiedni naturalnym ich potrzebom, wymaganiom stanu i zamiłowania. Poszczególne części wspólnego domu mają każda swoje przeznaczenie i tworzą organiczną całość. Małżeńskiej komnacie odpowiadają pokoje dla małych dzieci, starszych chłopców i dziewcząt; pracowni pana domu—buduar żony i pokojom poszczególnych członków rodziny—sale jadalne lub salony przeznaczone na rozrywki i zabawy.

Wszystkie uczucia, które przywykliśmy uważać za dobre i szlachetne, trysnęły ze źródła „życia domowego”. Z domem rodzinnym wiąże się mnóstwo zdarzeń, przeżytych od kolebki aż do grobu. Kołyska i trumna stają na tym samym miejscu, gdzie wsłuchiwalimy się w szept babuni, opowiadającej stare dzieje przy kominku, gdzie bawiliśmy się w chowanego lub skakali dokoła choinki. Takie poważne wspomnienia zwracają naszą myśl stęsknioną ku rodzinnemu domowi; wszystkie troski o chorą dziecinę, wszystkie walki i cierpienia, które zmuszeni byliśmy znieść w życiu—zawsze działały się wśród tych samych sprzętów w rodzicielskim domu.

Tylko mały domek z ogródkiem może dać rzeczywistą podstawę tej rodzinnej spólnocie, wśród której dusza człowieka w całym swoim majestacie może się rozwinąć. Mieszczańskie mieszkanie w wielkim mieście może jeszcze także do pewnego stopnia spełnić to zadanie.

Nakoniec rodzina była dotychczas wychowawczą i życiową spólnotą, bez której niepodobna wyobrazić sobie, że cokolwiek szlachetnego, dzielnego i wielkiego działo się na świecie.

Tutaj ujarzmiano zbyt dzikie popędy—tutaj rozdziły się łagodne myśli i uczucia. Najpiękniejszy i najwonnejszy kwiat ludzkości, miłość rodzicielska, zakwitnął w rodzinie. I wszystko, cokolwiek wychowanie zdziałać mogło, wszelkie prawdziwe wykształ-



cenie, dobre maniere zarówno jak rzeczywista kultura serca — wszystko to polega na spólnocie rodzinnej, w której jedynie znaleźć można żywe przykłady, owe potężne podpory wychowania. O człowieku bez taktu powiadamy, że brakowało mu pokoju dzieciennego; tak samo można śmiało powiedzieć, że mężczyźni, czy niewiasty, które pochodzą „z porządnego domu“ odczuwają potrzebę harmonii między mężem a żoną, dziećmi i rodzicami — rodzeństwem wreszcie. Brak egoizmu zarówno jak gotowość do ponoszenia ofiar, szacunek zarówno jak delikatność, wzajemne zaufanie i poczucie obowiązku — słowem wszystko, cokolwiek czyni człowieka cnotliwym i dobrym — rodzi się z życiowej spólnoty rodzinnej. Silne indywidualności są tylko te, których droga życia nie odbiegła od rodziny. Nie można wyobrazić sobie uobyczajenia, kultury mas bez wychowawczego wpływu rodziny.

O tym wszystkim śpiewają wróble na dachu. Nie miałem pretensji, że moje uwagi będą dla kogośkolwiek nowością. Mimo to uważałem za rzecz pożyteczną przypomnieć owe znane powszechnie rzeczy, aby uwydatnić całą doniosłość sprawy, o którą nam w tej chwili idzie, a mianowicie, że w proletariacie spólczesnym wzrasta pokolenie, dla którego rodzina niemal nie istnieje, którego poszczególni członkowie wcale lub prawie wcale nie znają tej spójni, co wieki przetrwała.

\* \* \*

Szczególnego rodzaju środowisko, wytworzone przez spólnotę rodzinną, instynktownie nazywamy „ogniskiem domowym“. W wyrażeniu tym mieści się pojęcie, wskazujące, że wszelka wartość kulturalna rodzinnej spólnoty ogniskuje się i rozwija w ścianach domu rodzinnego. Ognisko domowe jest środkiem, za pomocą którego rodzina wywiera wpływ na

swoich członków. Bez ogniska domowego niema rodziny. Warunkiem koniecznym istnienia „ogniska rodzinnego” jest dom z ogródkiem i z dziedzińcem, piwnicą i polem, ze schodami i znaczną ilością izb oraz komór. Dziś ograniczyliśmy nieco nasze wymagania. Nie żądamy już koniecznie, aby warunkiem istnienia „domowego ogniska” był domek z ogródkiem: piętrowa kamienica w wielkim mieście może spełnić to samo zadanie. Jednakże i to mieszkanie musi mieć pewne minimum przestrzeni i innych warunków, jeżeli ma przynajmniej do pewnego stopnia odpowiadać naszemu pojęciu. Kurella w pracy swej „o braku mieszkań i nędzy mieszkaniowej” wybornie to wyjaśnia. „Jasnym jest” — pisze — „że jeśli domowe ognisko ma być podstawą takiego rozwoju, takiej wspólnoty życia, jaka odpowiada pojęciu rodziny — to musi się ona mieścić w lokalu, który po pierwsze można przez czas dłuższy zajmować, po drugie, byłby zabezpieczony przed wtargnięciem obcych żywiołów i wzrokiem obcych natrętów — a po trzecie, miałby dostateczną przestrzeń, ażeby urządzenie domu mogło się rozłożyć w sposób zapewniający wspólne pożycie, a jednocześnie zostawiający poszczególnym członkom rodziny miejsce do osobistych zajęć i kącik, gdzieby samotnie mogli odpocząć”.

Otóż taki lokal dla rodziny, mającej dorastające dzieci, powinien składać się co najmniej: z kuchni, która może być jednocześnie jadalnią, izdebki przeznaczonej na mycie i większe porządki, sypialni dla rodziców, sypialni dla dzieci, a gdy dorosną—oddzielnych pokoiów sypialnych dla chłopców i dziewcząt, jednej wspólnej komnaty, kilku pokoików, w których członkowie rodziny mogliby znaleźć miejsce dla wykonywania swoich zajęć, podumać w samotności, pokoju rezerwowego dla choroby, urodzeń, śmierci, w którym także przygodni goście mogliby znaleźć pomieszczenie.

Niepięknie to i niemoralnie, jeżeli w tej samej



izbie, a często jednocześnie, ludzie się rodzą, umierają, gotują obiad, piorą, jedzą i pracują.

Mieszkanie, które może jeszcze uchodzić za „godne człowieka“, które obejmuje dostateczny jeszcze obszar dla pomieszczenia zwyczajnej rodziny złożonej z ojca, matki i trojga lub czworga dzieci posiadać musi: 1 kuchnię, 3 pokoje i 2 komory z przestrzenią co najmniej 250 metrów sześciennych razem i powierzchnią najmniej 68 m. kwadr.

Tymczasem bez wahania twierdzić można:

Stosunki mieszkaniowe większej części ludności pracującej, przynajmniej w wielkich miastach i ogniskach fabrycznych na kontynencie Europy, są dziś takie, że czynią niemożliwym obyczajne życie rodzinne.

Na innym już miejscu przedstawiałem nędzę mieszkaniową jako jeden z najistotniejszych charakterystycznych objawów egzystencji proletarjackiej. Wobec ważności przedmiotu pragnę jeszcze podać pewne cyfry, zwłaszcza odnoszące się do bezpieczeństwa osobistego takich lokatorów.

Pogwałceniem prostych wymagań higieny są przedewszystkim mieszkania w suterrenach. A przecież mieszkają tam setki tysięcy, ba! miliony ludzi!

W Berlinie w mieszkaniach suterrenowych mieszka jeszcze 91,000 ludzi, w Hamburgu 43,000, we Wrocławiu 15,000, w Altonie 12,000, w Poznaniu 8,000.

Jednakże nie o te straszne warunki higieny nam chodzi, gdy badamy wpływ nędzy mieszkaniowej na rozbitcie wspólnoty rodzinnej. Rozluźni się ona wówczas dopiero, jeżeli mieszkania są zbyt małe, przepełnione i obcemi ciałami przeładowane. Statystyka wskazuje dokładnie, że tak jest w istocie. Materiał cyfrowy nie pozostawia pod tym względem żadnej wątpliwości.

Któżby uwierzył, że w dzisiejszych jeszcze czasach całe masy ludzi obozują w mieszkaniach, nie mających opalanej izby? A przecież cyfry mówią, że

tych mieszkań w Berlinie jest 15,000, w Barmen 8,000 i t. d. Ale to są tylko wyjątki i przeważnie są to zapewne lokale osób pojedynczych. Natomiast niezmiernie wielką jest liczba ludzi, którzy zajmują wszystkiego jedną izbę.

W większej części miast niemieckich, jak wyżej powiedziałem, połowa albo prawie połowa mieszkańców zajmuje lokale nie większe nad jedną izbę: na 1000 ludności w Barmen 499, w Berlinie 430, we Wrocławiu 409, w Chemnitz 551, w Dreźnie 374, w Gorlicach 462, w Halli nad Sałą 429, w Królewcu 505, w Magdeburgu 454, w Plauen 641. Można zaś przyjąć, że więcej niż 2 pokoje zajmuje zaskakująco mały procent ludności robotniczej.

„Przeludnionym“ nazywa statystyka ten lokal, w którym 6 lub więcej osób zajmuje 1 pokój, albo 11 lub więcej 2 pokoje. I w tym kierunku podane cyfry są wprost przerażające: w przybliżeniu lokali takich w Berlinie jest 30,000, we Wrocławiu 7,000, w Plauen 3,000, w Chemnitz 5,000 i t. d.

Proszę pomyśleć tylko: 6 i więcej osób w jednej izbie — 11 i więcej w dwu izbach!

Nędzę mieszkaniową najbiedniejszej ludności, przynajmniej w miastach większych, do najwyższego stopnia potęguje jeszcze ta okoliczność, że nawet tak szczupłe pomieszczenia, nie zasługujące nawet na nazwę mieszkań, służą nietylko samej rodzinie: izby te zajmują jeszcze osoby obce, sublokatorzy, wynajmujący sobie „kątem“ legowisko na noc. Stan ten opłakany istnieje na 1000 lokali jednoizbowych: we Wrocławiu w 370, w Berlinie w 391, w Plauen w 596, w Monachjum w 572. Dr. Cahn w wyborzym studjum podaje, że w Monachjum 12,000 czyli 15 proc. lokalów przepelnione są mieszkającymi na noc kątem sublokatorami, z których czwartą część stanowią kobiety. W tej liczbie 12,000 lokali 3,918 mieszkań były w dosłownym znaczeniu przepelnione, a tylko 858 zajmowały więcej, niż 1 opalony pokój.



Jak się przedstawia takie mieszkanie robotnicze — o tym nikt nie ma właściwego pojęcia, kto osockbieście tej rzeczy nie badał.

Nawet opisy, których bogaty zbiór posiadamy, bardzo niedokładny dają obraz całej tej rozpaczliwej nędzy, cechującej wszystkie te mieszkania.

Pragnę tylko podać kilka drastyczniejszych przykładów. Biorę je na chybił trafił — a przytaczam je dla tego, że należą do najświeższych w moim zbiorze. Zresztą każde inne zestawienie dałoby te same rezultaty.

Podane tutaj opisy pochodzą z ankiety, przeprowadzonej w lecie 1905 roku przez wrocławski związek kas dla chorych. Chociaż prawdziwość ich została zakwestjonowana przez strony interesowane, sumienne jednak badania wykazały, że w głównych zarysach dane te są prawdziwe. Prezes policji we Wrocławiu wydał nawet stowarzyszeniu lekarskiemu świadectwo, w którym urzędowo stwierdza, że zebrane przez wyżej wspomnianą instytucję dane „po większej części” zgodne są z rzeczywistością.

Oto kilka „obrazków życia rodzinnego” wrocławskiej ludności roboczej na początku 20 stulecia:

1) Robotnica z fabryki cygar, chora na płuca, leży w izbie na poddaszu na gołej podłodze — wśród innych towarzyszek tak, że niewtajemniczony z trudem odnaleźć ją może. Tak zwane mieszkanie ma wysokości 1,85 m. Powietrze parne i duszne. W razie wybuchu ognia lokatorzy tej izby narażeni są na największe niebezpieczeństwo. Czynsz wynosi 11,50 k. miesięcznie. Mieszkańcy domu są nadto niepewni życia z powodu ogromnej ilości szcurów.

2) Ciężko chory szewe, lat 68, samotny, mieszka w warsztacie stolarskim. Za sprzętami ukryte łóżko. Biedaczysko jest wesoły, rad niezmiernie z tego, że od trzech lat przynajmniej ma mieszkanie, za które płacić może nie więcej, jak 3 marki miesięcznie. Prośba jego o przyjęcie do szpitala została odrzucona.

3) Chory zajmuje maleńki, wilgotny i ciemny pokój. W izdebce, która od szeregu lat nie była odnawiana, panuje okropna stęchlizna. Pod mieszkaniem znajduje się klozet i pisuar restauracyjny; okna wogóle nie otwiera się nigdy, żeby jeszcze bardziej nie zanieczyszczać powietrza.

4) Chora na nerwy szwaczka mieszka z rodziną w małym pokoiku z alkową, za co płaci miesięcznie 12 Mk. Wązkie podwórze, w którym znajdują się dwa klozety dla kamienicy, mającej 18 numerów mieszkaniowych w domu frontowym i dwu oficynach, bocznej i tylnej.

5) Chory stolarz zajmuje izbę o jednym oknie i komorę. Powąły zadymione. W ścianach dziury, mające 20—30 cm. szerokości. W tym samym stanie sięń. W podwórzu 4 klozety służą lokatorom 28 mieszkań.

6) Chory na reumatyzm zajmuje izbę, do której prowadzą wązkie, chwiejące się schody. Cała rodzina sypia w ciemnej, wilgotnej komorze. Meble w części zbutwiałe. Dla 12 familji jeden klozet, do którego chodzą jeszcze goście znajdujące się w tym samym podwórzu restauracji. Dom roi się od robactwa. W czasie deszczu woda sływa do mieszkań.

7) Chory na płuca mieszka na poddaszu, w izdebce źle zabezpieczonej od zimna, mającej kształt zaokrąglonego trójkąta. Czynsz 22 Mk. miesięcznie. W środku izdebki stoją dwa drewniane słupy, na których opiera się wiązanie dachu. W izbie są tylko trzy łóżka, na których śpi siedm osób, mianowicie mąż, żona i 5 dzieci.

8) Chory czeladnik piekarski mieszka bardzo ciepło, gdyż w małym domku nad piekarnią znajduje się sypialnia dla pracowników. W izbie straszny upał i okropny brud. Chory piekarczyk śpi na jednym łóżku z uczniem.

9) Chory na reumatyzm mieszka w parterowej



oficynie. Za małą, brudną izdebkę musi płacić miesięcznie 10 Mk. czynszu.

10) Bardzo wąskie, ciemne schody prowadzą do mieszkania chorej na płuca robotnicy. Izdebka, w której leży chora, ma wysokości 1,85 m. Ciemno zupełnie. Siostra zmarła w tym lokalu na suchoty.

11) Mąż i żona, oboje członkowie kasy chorych, mieszkają w maleńkiej, ciemnej izdebce, w której znajdują się tylko najniezbędniejsze sprzęty. Ciężko chora kobieta w dzień tylko ma łóżko dla siebie samej. Dla 25 mieszkań 6 klozetów.

12) Zupełnie ciemny korytarz prowadzi do mieszkania chorego na oczy robotnika. Mąż, żona, 2 dzieci—wszystko to sypia w jednym łóżku.

13) Po ciemnych schodach, na których rozwieszono są brudne szmaty, wchodzi się do pustego prawie mieszkania chorych na płuca. Łóżko puste, bez pościeli, służy do spoczynku małżonkom.

14) Chora na płuca wdowa, obarczona czworgiem dzieci, zajmuje nadzwyczaj nędzne mieszkanie. W izdebce znajduje się tylko 1 łóżko! Czynsz wynosi 10 Mk.

Jan Kurella doskonale wykazał w wymienionej wyżej broszurze związek, jaki istnieje między mieszkaniem i moralnością. Autor dowiódł, że nędza mieszkaniowa wpływa rozstrzygająco na ukształtowanie się proletarjackiej „psyche”, ponieważ burzy wszelkie usiłowania wytworzenia familijnego sposobu życia.

Jakiż to powrót do domu — mówi zupełnie słusznie — gdy robotnica fabryczna wieczorem wchodzi do izby, w której suszy się bielizna, dzieci wrzeszczą, walają się po ziemi porozrzucane naczynia i sprzęty, małżeństwo może kłóci się z sobą — gdzie niema ani jednego wolnego stołka, a łóżko dzielić trzeba z dwiema lub trzema osobami! Cóż dziwnego, że lokator „kątem” w takiej izbie mieszkający porzuca takie „ognisko domowe” i ucieka do knajpy, a robot-

nica wyrywa się chociaż myślą z utęsknieniem na jasną ulicę o wspaniałych wystawach sklepowych lub tęskni za miejscami rozrywki, które nam oczywiście wydają się zapewne ędzne, hałaśliwe, zadymione — gdzie jednak biedna robotnica znajduje ciepło, jasność, zabawę, gorącą strawę, może przyjazne spojrzenie, czule słówko jakiegoś „pana”. Dla córki bankiera lub fabrykanta, która w zbyt kownym mieszkaniu marzy również, ale o operze lub sali balowej, i jej szanownych rodziców — biedna taka dziewczyna jest oczywiście istotą „niemoralną”, „upadłą” i „pogardy godną!”

Nędzę mieszkaniową uwydatnia nie tylko to, co się dzieje wewnątrz ścian izby: obraz ten okropny nabiera barw jeszcze ciemniejszych, gdy uprzytomnimy sobie, jakim jest otoczenie, jakim jest ugrupowanie tych lokali. Mieszkania składające się z kuchni i izby są znośne, jeżeli znajdują się w osobnej chacie; możliwe są nawet, jeżeli mieszczą się w t. zw. czworakach, w których mieszkają więcej robotnicy z Wielkiego Księstwa Poznańskiego, lub w chatach wieśniaczych na Górnym Szlązku, gdzie około jednego komina w chacie otoczonej ogródkiem. ugrupowane są cztery mieszkania.

Odkąd jednak przedsiębiorcy budowlani, — owa obok bookmakerów moralnie, intelektualnie i ekonomicznie najgorsza kasta ludzi ze świata spekulacyjnego — odkąd, powtarzam ci przedsiębiorcy, naśladując opuszczone gmachy patrycjuszów w starożytnych miastach, zamienione na nory nędzy, nauczyli się wyzyskiwać przestrzeń i materiał; odtąd przed pięćdziesięcin mniej więcej laty do okropnej tej nędzy mieszkaniowej przybyła jeszcze brzydota wznoszonych karawanserajów. W takich kasarniach niema mowy o ciszy domowej, o rozkoszy domowego ogniska; tutaj, gdzie w czasie lata przez otwarte okna — a przecież w izbach, w których jednocześnie gotuje się, pierze i prasuje niepodobna przy zamkniętych oknach wy-



trzymać — dolatują hałasy, klótnie, stukot, warczenie i brzęczenie maszyn szwaczek i szewców, gdzie sły-chać wrzask dzieciarni, gdzie dochodzi z dziedzińca huczenie maszyn fabrycznych, gdzie czuć zapach i swąd topionego łożu z 40 czy 50 kuchen, gdzie nie można drzwi otworzyć, aby nie zajrzały ciekawe lub złośliwie uśmiechnięte oczy—w takim domu założone ognisko domowe musi się wydawać piekłem — a knajpa i dom publiczny rajem. W takich warunkach nie mogą już wydawać się strasznymi nawet więzienie i dom warjatów.

System ten budowlany — znany zresztą po-wszechnie nawet bez złej woli działającej władzy — występuje w całej swej grozie, gdy cholera nadcią-gnie lub dyfteryt poruszy ostrą kosę śmierci, która zetnie kilkaset główek dziecięcych. Wówczas w cią-gu dwu tygodni robi się tyle powietrza, ile przez cały rok nawet schorowane płuca tych biedaków nie wchłonęły—w ciągu pół miesiąca oczyszcza się miesz-kania z nadmiaru lokatorów. Trwa to jednak zaled-wie dni kilka, bo opróżnione miejsce zajmują nowi szlafkamracy, do szczupłych izdebek wprowadzają się nowi sublokatorzy, nowe familje.

Ogromna śmiertelność, panująca w tych robotni-czych kasarniach, zwłaszcza ogromna śmiertelność wśród dzieci jest ważnym czynnikiem w rozwoju oby-czajności mas. Ustawiczne patrzenie na umierają-cych, których ilość znakomicie wzrasta w czasie epi-demji — musi oswajać otoczenie z widokiem śmierci i przyzwyczajając je do lekceważenia ludzkiego życia. O ile okropne sprawia wrażenie na cywilizowanym człowieku każdy wypadek śmierci, ubytek z otocze-nia pewnej pednóstki, z którą spędziło się razem tyle przykrych i wesołych chwil—o tyle śmierć na miesz-kańcach takiej kasarni nie czyni już najmniejszego wrażenia—boć tutaj w ciągu roku z pewnością umar-ło trzy czwarte towarzyszków.

W ten sposób nędza mieszkaniowa przyczynia

się z góry do zaniku najpierwotniejszych uczuć, stanowiących czynniki moralności, i poczucia płciowego wstydu, tajemniczego dreczczu budzących się uczuć erotycznych, poszanowania tajemnic i czci dla majestatu śmierci.

Widzieliśmy, jak niewielu mieszkańców posiada mieszkanie, w którym mogłaby normalnie rozwijać się obyczajność. Bo cóż olbrzymiej masie robotniczej, owym biedakom mieszkającym wśród okropnej nędzy, pozbawionym wszelkich wygód, wiecznie łaknącym, daje ów dom? Gdzie jest cisza i rozkosz w tej kasarni przepełnionej ludźmi, meblami, sprzętami, wszelkiego rodzaju śmieciami — w jaki sposób może panować spokój w domach, gdzie na schodach, kurytarzach, dziedzińcach i gankach wciąż hałas, kłótnie, kurz i zaduch? Czy może panować porządek, owa podstawa prawidłowego spełniania obowiązków — w tych kątach, w których niema miejsca na nie, w których żaden przedmiot nie stoi na właściwym miejscu? Czy można tu znaleźć ukojenie, zamiłowanie do czystości po pracy wśród brudu i kurzu? Czy człowiek przesładowany i udreńczony znajdzie tutaj samotność, do której wzdycha — czy człowiek znajdzie miejsce, w którym mógłby znaleźć się sam na sam ze swojemi myślami i porachować się z sumieniem? A względ na potrzeby, przyzwyczajenia spólmieszkańców, poszanowanie uczucia wstydu w innych — czyż może znaleźć odpowiedni wyraz? Czy więc w takich warunkach może istnieć i wzmacniać się sympatja, która kwitnie tam, gdzie ludzie wzajemnie się cenić potrafią? Gdzie podzieje się dyskrecja, jedna z najważniejszych cnót społecznych, skoro jeden drugiemu przez otwarte drzwi zagląda sto razy dziennie zarówno w świętości, jak w brudy mieszkania, skoro miłość i nienawiść w otwartych oknach obnażają się wobec mieszkańców całego domu?

Pewnego rodzaju łagodność usposobień i pewien zasób dyskrecji nieodzownie jest potrzebny do poko-



jowego i pojednawczego załatwiania sporów, które wynikać muszą przy ustawicznym kontakcie mieszkańców i bijatykach dzieci. A przecież w takich warunkach mieszkaniowych, w jakich żyją robotnicy, nie może rozwijać się ani gotowość do zgody, ani pojednawcze usposobienie — nie może zakiełkować łagodne przywiązanie między małżonkami, ani miłość rodzicielska, które nigdy nie zakwitną, gdy je mrozi lodowate spojrzenie obcych oczu. O duchowej łączności rodziny, która wynika z domowej opieki nad sztuką, z ustawicznej, niedoznającej przeszkody wymiany myśli, wspólnych zabaw i czytania — nie może być zgoła mowy w kasarniach, zamieszkałych przez ludność robotczą.

Wzrasta przeto pokolenie, nie znające cudownej melodji, granej na strunach rodzinnej harfy, tej łagodnej, szlachetnej przyjaciółce, która towarzyszy w wędrówce całej wykształconej i uobyczajonej ludzkości. Wzrasta pokolenie, które nie słyszy w domu piosenki Szuberta, nokturnu Szopena — nie zna nawet owych rzewnych piosenek ludowych, któremi wiejskie skrzypki, czy harmonika tak dziwnie przemawiają do duszy.

\* \* \*

Brak ciepła domowego ogniska już sam w sobie wystarcza do zduszenia wszelkiej wspólnoty rodzinnej wśród proletariatu. Mógłby jednakże ktoś uczynić zarzut, że owa opisana tutaj nędza mieszkaniowa nie jest udziałem całego proletariatu, że przecież na wsi i w małych miasteczkach są mieszkania robotnicze, do których przynajmniej w małej mierze dochodzi światło i powietrze — które są względnie obszerne i możliwie czyste.

Nie należy temu przeczyć, chociaż bez wątpienia już obecnie z wyjątkiem, powtarzam, Ameryki

i Anglii, gdzie stosunki korzystniej się przedstawiają dzięki lepszemu odżywianiu się i zdrowotnym mieszkaniom—znaczna część proletariatu nie posiada godnych człowieka mieszkań, a wciąż jeszcze panuje silna tendencja, aby jak najszersze koła robotnicze wpechnąć w tę otchłań nędzy mieszkaniowej.

Ale podobnie optymistyczne poglądy tych, którzy jeszcze wątpią, rozwiać się muszą, skoro poznają, że mieszkaniowe warunki nie są jedyną przyczyną, która podkopuje i unicestwia życie rodzinne dzisiejszego proletariatu. Cały szereg innych okoliczności działa również w tym samym kierunku—tak, że nawet w razie polepszenia warunków mieszkaniowych proletariąt przez długi czas nie powróciłby do starodawnych stosunków rodzinnych. Przyczyny takiego stanu rzeczy tkwią w warunkach pracy tej klasy społeczeństwa i tylko razem z niemi mogą być usunięte.

Na ogół także w proletariacie małżonek i ojciec jest dziś jeszcze głównym żywicielem rodziny. Od sposobu i rodzaju ułożenia się warunków pracy ojca rodziny w pierwszym rzędzie zależeć będzie, czy są warunki istnienia tradycyjnego życia rodzinnego.

Oto mamy najpierw robotników wędrownych — obieżysasów — którzy w czasie lata i jesieni wychodzą na roboty rolne w okolice o bardziej intensywnym gospodarstwie rolnym. Są to przeważnie robotnicy wieśniacy, parobcy i dziewczęta.

Bez wątpienia perjodyczne takie wędrowki członków właściwie nie rozbijają ogniska rodzinnego. Rodziny obywatelskiej nie rozbija niewątpliwe wyjazd dorastającego syna na uniwersytet lub dorastającej panny na pensję. W każdym razie jednak pobyt wśród obcych bynajmniej nie jest dla młodych ludzi „szkołą małżeństwa”.

Tutaj pędzą oni życie rozwiążle zwłaszcza pod względem płciowym. W olbrzymich szopach, zbudowanych prowizorycznie, lub owczarniach, gdzie wspólnie się mieszczą — z pewnością nie panuje nastroj



klasztorny. Weszło już niemal w zwyczaj, że dziewczęta z tych robót powracają nietylko z pewną sumką uciulanych pieniędzy, ale z innymi dowodami błogosławieństwa, które wprawdzie można uważać za początek rodziny, które jednak nie zawsze do założenia rodziny prowadzą.

Przypomina to ustęp z „Obrazków życia rodzinnego” Teodora Thomasa, w którym młoda matka, otoczona pięcioma bachorami—woła: „Gdybyśmy mieli jeszcze ojca—stanowilibyśmy zupełną rodzinę”.

Kwestja ta należy jednak do innego rozdziału, gdzie ją poruszę jeszcze w związku z pokrewnymi zjawiskami. Tymczasem zajmę się właściwymi rodzinami, na których czele stoi ojciec: mówić będę mianowicie o ojcach rodziny, zarabiających na chleb jako robotnicy wędrowni. Niewielu ich zapewne się znajdzie, a jednak doliczyłbyś się kilkuset tysięcy. Do tej kategorii zaliczyć naprzykład wypada wielu robotników budowlanych, którzy pracują w wielkich miastach, a mieszkają nieraz daleko od miejsca zarobkowania, na wsi.

Jedni przebywają przez cały sezon budowlany w mieście—inni przychodzą co tydzień tylko: wyjeżdżają z domu w poniedziałek rano, powracają w każdą sobotę wieczorem. Łatwo zrozumieć, że takie koczownicze życie nie przyczynia się do wzmocnienia węzłów rodzinnych.

Bardziej jednak znamienitym jest fakt, że nawet osiadły robotnik, względnie robotnik fabryczny, pracownik zajęty w handlu czy w instytucjach komunikacji, po większej części prowadzi życie, które wprost uniemożliwia prawidłowe wspólne pożycie rodzinne.

Stosuje się to przedewszystkim do robotników, skazanych na pracę nocną. Do najosobliwszych bowiem zdobyczy kultury kapitalistycznej należy praca nocna. Praca w porze nocnej była niepodobieństwem, dopóki funkcję gospodarczą spełniały samodzielne jednostki. Chłop, rękodzielnik, sklepikarz nie znają pra-

cy nocnej — i znać jej nie mogą. Bo skoro każdy z nich sam dla siebie pracuje, a nie ktoś inny za niego, to z konieczności w ciągu 24 godzin musi on odpocząć. Oczywiście zaś, że każdy z tej kategorii pracowników na spoczynek przeznaczają porę, w której spoczywa cała natura, a więc nocne godziny. Dzień roboczy może być dla tej kategorii pracowników, jeżeli zmęczenie ich nie zmoże, dłuższy lub krótszy — nocnej roboty atoli oni nie znają.

Stan ten zmienił się dopiero, odkąd ludzie obcy pracować zaczęli w służbie przedsiębiorstw. Kapitałistycznemu bowiem przedsiębiorcy oczywiście zależy tylko na tym, aby sam spał w nocy. Nie troszczy się zaś bynajmniej o to, czy inni ludzie, którzy na żołdzie u niego zostają, w nocy śpią czy ciężko pracują.

Ponieważ zaś dla zużytkowania kapitału w rozlicznych dziedzinach życia gospodarczego — zwłaszcza w interesach przemysłowych ze znacznieszym kapitałem zakładowym — okazuje się rzeczą bardzo korzystną, aby zakład o ile możliwości był czynnym bez przerwy, przeto z potrzeb kapitału wyłoniła się tendencja zmierzająca do pracowania bez przerwy, dzień i noc, przy pomocy podwójnego materiału ludzkiego.

Dziś jeszcze praca nocna jest regułą we wszystkich kopalniach, hutach, salinach, w wielu fabrykach chemicznych, w cukrowniach i w niektórych gałęziach przemysłu przewozowego, jak na kolejach. Tutaj przynajmniej ruch nocny związany jest z interesem ogólnym, podczas gdy w dziedzinie produkcji wyłącznie kapitał zainteresowany jest w pracy nocnej.

Praca w porze nocnej zajmuje nas na tym miejscu przedewszystkim jako czynnik wpływający na życie rodzinne.

Zupełnie jasną jest rzeczą, że praca nocna jest najzaciętszym wrogiem życia rodzinnego. Mąż i ojciec, który co drugi tydzień przez cały dzień musi spać, a w nocy dopiero poza domem pracować, może



oczywiście tylko w sposób bardzo niedostateczny i bardzo powierzchowny spełniać obowiązki głowy rodziny.

Harmonja i porządek w rodzinie muszą być w takim wypadku silnie zagrożone—nie mówiąc już o tym, że praca nocna podkopuje zdrowie pracownika, denerwuje go, odbiera mu humor — a w końcu wpędza go w suchoty.

Jakie jednak stosunki panują wśród masy robotników, pracujących w dzień? Czy przynajmniej ich robota jest tego rodzaju, że nie niszczy wspólnoty rodzinnej? W niewielu, bardzo rzadkich, wypadkach da się to powiedzieć. Przyjrząwszy się bliżej tym stosunkom, musimy dojść do przekonania, że nawet zwyczajny robotnik dzienny stracony jest dla życia rodzinnego, a życie rodzinne dla niego.

Ludzie syści, po słonecznej tylko stronie życia wędrujący, nie mają zupełnie pojęcia o wielkich cierpieniach, a małych radościach tych, którzy kroczą w ciemnościach. O życiu codziennym tej rojnej masy naszych spółobywateli, o ich przyzwyczajeniach wiemy mniej, niż o Murzynach lub Syngalezach, których opisują nam podróżni kupcy, a wędrowni sprytni przedsiębiorcy w zoologicznych ogrodach nawet pokazują. Ale co i kiedy widzimy z rzeczy dotyczących proletariatu ojczystego kraju? Kiedy widzimy, jak ten robociarz dzień zaczyna, jak go przepędza, jak go kończy?

Jak robotnik dzień zaczyna, o tym ludzie, t. zw. wyższej sfery dowiadują się czasami, gdy po nocy spędzonej na balu lub na partji pokera nad ranem około 5-ej lub 6-ej wracają do domu lub spieszą na ranny pociąg. Z wielkim zdziwieniem spoglądają oni wówczas na ten świat dotychczas nieznaną. Dotąd nie wiedzieli, że są także na świecie te setki i tysiące ludzi, którzy o świcie po 2, po 3 w długich szeregach podążają szybkim krokiem, prawie zawsze w milczeniu, do pracy, niosąc w ręku narzędzia lub

niebieską bańkę z kawą. Idą ze swoich smutnych ognisk domowych, które przed chwilą poznaliśmy; — wyszli z domu, ubrawszy się pospiesznie przy blasku kopcącej się lampki między śpiącymi dziećmi, wypiwszy — i to nie zawsze — szybko kilka łyków kawy i spieszą w ramiona olbrzymiego Molocha, fabryki, której ostro świstawka o szóstej godzinie, kiedy my w najlepsze wygodnie na drugi bok się przewracamy, zapowiada, że indywidualne życie tych, co weszli do fabryki, ustało na 11 — 12 godzin, że nad ciałem ich i duszą kapitał obejmuje znów panowanie.

Ojciec dawno już wyszedł z domu, zanim dzieci wstały. Ojciec nie przychodzi do domu nawet na obiad. Pauza na to za krótka, droga do domu za daleka. Będzie musiał w pobliskim szynku zjeść kawałek kielbasy i wypić jeden, drugi i trzeci kufel piwa. Czasami żona zanieśie mu obiad w koszyku. Widzimy też często w południe owe blade kobiety, w niebieskich spódnicach, z koszykiem w ręku, bez uśmiechu na ustach, o smutnym spojrzeniu i zmęczonej twarzy, przygniecione brzemieniem pracy, zwiędłe już i sterane w trzydziestym roku życia, podczas gdy kobiety z warstw zamożniejszych najpiękniejsze bywają. Czasami prowadzą 4 lub 5-letnie dziecko, które dostaje część obiadu ojca. Obiad zjada się na ławce w parku, czasami na belkach nowobudującego się domu, pod murem fabryki wreszcie. Składa się on obowiązkowo z zupy przyniesionej w blaszanym garnuszku, z kawałka kielbasy, kromki chleba i butelki piwa lub kawy. Po spożyciu obiadu ojciec kładzie się spać. Jest śmiertelnie znużony: wstał przecież o godzinie piątej, czy nawet wcześniej i ma już za sobą sześć godzin wyteżonej pracy. Matka z dziećmi siedzi obok....

Za chwilę świstawka parowa znowu wzywa do pracy, o ile zresztą, jak u tramwajarzy, cała przerwa obiadowa nie jest tylko skradzioną godziną pracy.



Kulminacyjny punkt dnia powszedniego w rodzinnym życiu proletariusza przeminął. Wszakże wieczorem nie wiele więcej znajdzie sposobności do poświęcenia się żonie i dzieciom. Wolny jest o szóstej lub siódmej. Wychodzi z fabryki znużony i wyczerpany zupełnie. Wyczytasz to na zmęczonej twarzy biedaka, gdy go spotkasz powracającego do domu.

Znów oto towarzysze pracy idą w milczeniu jeden obok drugiego. Papieros lub cygaro trochę rozrzuć znużonych całodziennym znojem. Są to najsilniejsi, którzy mimo znużenia nie wstępują do pierwszej lepszej po drodze knajpy, by tam za kilka groszy kupić sobie trochę życia, wesołości i fantazji. W szynkach dopiero rozbrzmiewają głosy, których nie można było usłyszeć ani wtedy, gdy szli do pracy, ani wtedy, gdy powracali do domu, ani nawet, gdy pracą byli zajęci.

A oto przychodzi żona, która, opanowana okropnym strachem, na próżno na męża czekała, i wyciąga go z coraz głośniejszego rozbrzmiewającego gwaru knajpy.

Trzeźwy jednak i porządny robotnik, który oparł się pokusie i po skończonej robocie zaraz powraca do domu—również nie potrafi tam być przyjemnym, pożądanym ojcem rodziny i mężem. Proszę sobie przypomnieć, w jakie otoczenie on wraca!.. Woli on przeto raczej pójść na zebranie swojego związku zawodowego lub stowarzyszenia politycznego, woli raczej posłuchać kursów popularnych—nadmierzający objaw umysłowego wysiłku—albo też o ósmej lub dziewiątej godzinie rzuca się znużony na łóżko i zasypia twardo, aby nazajutrz obudzić się o czwartej czy piątej i pędzić znowu taki sam dzień roboczy.

Jedynym dniem, w którym w najlepszym razie proletariusz może być człowiekiem, jest niedziela. Wtedy to z dzieciarnią, pchając dziecinnie wózek najmłodszego, ciągnie w lecie do ogródka z piwem,

a w zimie do zadymionej sali restauracyjnej, gdzie gra muzyka,

To jest jedyny promień słońca, który wpada do jego szarego, monotonnego życia.

Bóg wie jednak, że to zbyt mało, aby ziarna szczęścia rodzinnego mogły zakiełkować i w bujny kwiat się rozwinąć!

W takich warunkach głównym ogniwem spólnoty rodzinnej staje się matka.

Dzieje się tak przynajmniej jeszcze częstokroć na wsi lub w małym miasteczku, gdzie najemny robotnik ma zagon pola, ogródek, krowę, chatę—a więc nie jest jeszcze zupełnie nowoczesnym proletariuszem. Tam także żona robotnika jest panią domu, gospodynią, która pracą rąk własnych przyczynia się do utrzymania domu. Ale i to zmienia się w miarę, jak znikają małe cząstki posiadania, które dawały podniecie do prowadzenia pół-produkcyjnej pracy domowej, w miarę, jak ścieśnia się coraz bardziej obszar zamieszkały przez robotnika, jak ubywa z niego piwnica i zagon, stajnia i komora,—gdy mieszkanie proletariusza ogranicza się do jednej nędznej izby, do której wnętrza zajrzeliśmy niedawno. Zmiana powyższa następuje, gdy ustaje możność wszelkiej pracy wytwórczo-gospodarczej, gdy wszystko, co potrzeba do wyżywienia i ubrania musi się kupować w sklepie—gdy przeto wzrastają wydatki, zwłaszcza na komorne, które podnosi się w odwrotnym stosunku do wielkości mieszkania. Wówczas przychodzi ostatecznie chwila, że sam zarobek męża nie wystarcza na utrzymanie całej rodziny—że więc matka siłą swoją roboczą, której nie może już w domu produkcyjnie zużytkować, zmuszona jest razem z pracą męża spieniężyć na rynku, ażeby zarobkiem w gotówce przyczynić się do pokrycia wzrastających wydatków na utrzymanie rodziny.

W ten sposób kobieta poświęca się pracy zarobkowej w przemyśle. Na drzewie kapitalistycznej



kultury wyrasta nowa gałąź, obsypana owocami. Kapitalizm bowiem zrozumiał, jak można wcielić do dzisiejszego produkcyjnego systemu tę nową, żądną pracy, kategorię ludzi.

Przez dwie furty dostały się kobiety do gmachu nowoczesnej organizacji gospodarczej.

Pierwszą był przemysł domowy.

Ta forma kapitalistycznego przedsiębiorstwa, pozwalająca robotnikowi pracować w domu, od kilkuset lat była znaną w krajach kulturalnych. Zaczęła jednak zamierać w wielu gałęziach (np. w przedziałnictwie) pod naciskiem spólczesnej techniki, gdy rozwój wielkowiejskiego ustroju wytworzył całą armję żądną pracy kobiet, które nadawały się wybornie jako materiał do nowej organizacji przemysłu domowego. W ten sposób nowy—spólczesny przemysł domowy, którego typem jest przemysł konfekcyjny, oparł się głównie na podstawie wielkowiejskiej w przeciwstawieniu do dawnego przemysłu, mającego charakter wyłącznie wiejski. Zastosował on się do potrzeb zamężnych kobiet, pragnących pracować w domu.

Jeżeli pracę kobiet rozpatrywać będziemy wyłącznie ze stanowiska zachowania rodziny lub jej zniesienia—to nie da się zaprzeczyć, że ta forma przemysłu domowego była najmniej szkodliwa. Kobieta zostawała przy swoim małym gospodarstwie, matka nie opuszczała dzieci. Zapewne, że pewien wpływ rozkładowy wywierała także owa praca kobiet w przemyśle domowym. Zamieniała ona rozpaczliwie ciasne mieszkanie na pracownię i przez to pogarszała jeszcze bardziej warunki mieszkaniowe — zwłaszcza, jeżeli sama robota była niechlujna, połączona z wyziewami, parą i t. d.—jak przy wyrobie cygar i innych podobnych robotach. W każdym jednak razie utrzymywał się jeszcze ostatni węzeł rodzinny.

Zerwał się i ten węzeł z chwilą, gdy żona robotnika musiała pracę swoją sprzedawać poza domem—gdy została „robotnicą fabryczną“.

Praca kobiet w fabryce w części tylko jest następstwem wprowadzenia maszyn. Wynikła ona natomiast przede wszystkim z rozkładu dawniejszych złożonych procesów produkcji na poszczególne części składowe. Powstało w ten sposób mnóstwo poszczególnych czynności, nie wymagających żadnego natężenia sił, ani też żadnego poprzedniego przygotowania, a zatem odpowiednich zupełnie dla tego surowego materiału, jaki na razie przedstawiały szukające pracy kobiety. Powierzano im więc czyszczenie w fabryce alfenidów, czernienie podeszw w fabryce obuwia, sortowanie gałganów w papierniach i tym podobne piękne zajęcia. Naturalnie stawały one także przy maszynach jako prządki, tkaczki, szpularki w przemyśle włóknistym, w którym największa część robotniczych zastępów kobiecych znalazła zajęcie.

A więc matka została robotnicą w fabryce! Wychodzi wczesnym rankiem z domu; w południe na kilka zaledwie minut wpada; wraca dopiero wieczorem. A zatem zgasło ognisko domowe. Co najwyżej pozostała kupka popiołu, przy której grzeje się garnuszek: jeżeli i ta zniknie, to pozostanie chyba skrzynia kuchenna, która dziś stała się ważnym przedmiotem burżuazyjnej reformy społecznej.

A dzieci? Szczyście, jeżeli najmłodsze przyjęte zostanie do wzorowo urządzonej ochrony lub żłobka. Wszak dobrzy pracodawcy najbardziej interesują się organizacją takich ochronek i żłobków przy fabrykach, bo one „ułatwiają“ matkom nie być matkami. Zresztą dzieci przepędzają czas u sąsiadów. Starsze są także przy pracy — o czym później jeszcze pomówię—albo siedzą w szkole.

W wolnych godzinach przyjmuje je na swoje łono nie dobrotliwa „macierz—wieś“, lecz wiejkomiej-ski trotuar. I oto zaczyna dopełniać się przeznaczenie proletariatu: dopiero dziecko ulicy jest prawym rodzicem wszystkich późniejszych pokoleń tego ludu bezdomnego.



Dziecko ulicy — to znowu kwiat kultury, który dopiero w naszych czasach zakwitnął w całej pełni. Wprawdzie na wsi, czy w małym miasteczku dzieci bawią się także na ulicach i drogach; wprawdzie dzieci małomieszczańskie bawią się w te same gry, co dzieci proletarjuszów: a jednak jakaż przepaść dzieli dzieci dawnych czasów od naszych „dzieci ulicy“.

Różnica między niemi wielka. Najpierw ta cechująca dzieci wiejskie przynależność do jednej gromadki, ten węzeł spółnoty, wiążący z rodziną lub sąsiedztwem. Na wsi, czy w małym miasteczku zawsze te same dzieci bawią się na ulicy; znają się one wszystkie, rodzice ich znają się, nawet niejednokrotnie przyjaźnią się z sobą; wady każdego niemal dziecka znają wszyscy, rodzice i dzieci. Każda troska, każda potrzeba tej znanej całej wiosce i ukochanej przez nią gromadki, jest przedmiotem gawęd, opieki i kontroli rodziny i całego sąsiedztwa. Wistocie jest to wielka, cicha spółnota wychowawcza.

Zupełnie inaczej wygląda dziecko ulicy.

W wielkim mieście dziecko na ulicy to liść, miotany podmuchem wiatru, co chwila z jednej kupy na drugą przerzucany—to ustawicznie zmieniająca się w swoim składzie gromadka obcych dzieci, których rodzice nie znają się wzajemnie, które nie są często znane rodzicom wspólnie bawiących się malców—to bezkształtna masa, w której przewodzą i wpływ swój narzucają żywioły najsilniejsze, zawsze prawie najgorsze i najbardziej zepsute, bo nikt tej zgodnej działalności nie starał się badać i jej zapobiegać—to gromada, której fizyczny i materialny los zdany został na łaskę przypadku.

Praca kobiet zamężnych w przemyśle nie jest jeszcze dotąd ogólnym prawidłem. W każdym razie w Niemczech np. jest już milion albo nawet więcej kobiet zamężnych, które poza domem zarabiają w przemyśle. Już w 1895 r. takich robotnic liczono 800,000. I istnieje wyraźna tendencja w kierunku

powiększenia się pracy kobiet zamężnych poza domem. Tak w okresie 1882—1895 procent kobiet zamężnych pracujących poza domem w stosunku do robotnic niezamężnych wzrósł z 13'7<sup>o</sup>/<sub>o</sub> do 16'8<sup>o</sup>/<sub>o</sub> w przemyśle, a z 16'9<sup>o</sup>/<sub>o</sub> do 20'1<sup>o</sup>/<sub>o</sub> w handlu. Podobny przyrost zauważyć możemy w innych krajach o kapitalistycznej kulturze. W rzeczywistości zaś z wyżej wymienionych przyczyn zastęp mężatek, ofiarowujących pracę swoją na ogólnym rynku pracy, musi być coraz większy. Każdy więc nowy dzień przyczynia się do burzenia spólnoty rodzinnej.

\* \* \*

Jako ostatnia spuścizna rodziny pozostaje dziecko. Dziecko, które najlepszą część życia spędza na bruku ulicznym, rade być musi, jeżeli znajdzie sobie kawałeczek pola na skraju przedmieścia lub wolny plac niezabudowany w śródmieściu, gdzieby się zabiwać i w piasku wytarzać mogło. Dziecko, które wdycha w młode płuca zarażone powietrze rynsztoku, rośnie duchowo i fizycznie w zatrutej atmosferze wpływów najrozmaitszego rodzaju i pochodzenia. Straszne tajemnice ulicy wielkemiejskiej wykryje chyba kiedyś jakiś proces sensacyjny, który rzuci jaskrawe światło na to gniazdo zepsucia i zbrodni.

Bo nie da się zaprzeczyć, że ulica wielkiego miasta jest gorliwą propagatorką występku; — zwłaszcza w krajach, gdzie zabójczy jad prostytutki szerzy się po całym ciełe ludu, dzieci proletariatu systematycznie są znieprawiane i wciągane do występku.

Trzeba bowiem wiedzieć, jaką rolę w takich zbiorowiskach ludzkich odgrywa „panna“. Nietylko rodzinę, u której najlepszą izbę zajmuje, wciąga taka dama w wir swoich spraw i interesów, ale łowi w sieć swoich wpływów całą gromadkę dorastających dzieci. Na nią zwracają się wszystkie oczy, gdy



w eleganckiej toalecie wychodzi na miasto, gdy przyprowadza „ślicznego pana“, gdy dziewczętom rozdaje łakocie, a bardziej uprzywilejowane dzieci używa za posłańców lub do spełniania innych dowolnych usług.

Runęła ochronna ściana domu rodzinnego, ogniska domowego i rodziny, która strzegła niewinności dziecka: rozlała się kałuża błota, które brudną falą zalewa serca dorastającej młodzieży w najpiękniejszym wieku... I podziwiać tylko trzeba, że z tego bagna wychodzi jeszcze tylu dzielnych mężczyzn i kobiet. Ale jak długo jeszcze?

Ongi zdawało się, że opuszczone dziecko proletariatu uratować można. Kiedy w początkach XIX w. w Anglii wyrastały, jak grzyby po deszczu, fabryki z pracą maszynową i mnóstwem czynności drobnych, krzy których można było doskonale zużytkować nawet najmniejszą siłę roboczą — odezwały się takie głosy:

— Mężowie i niewiasty proletariatu! Ponieważ sami musicie chodzić do fabryki, zabierajcie z sobą także dzieci wasze, które, pozostając w domu, figle tylko płatają, wałęsają się i marnieją w próżniactwie. Osiągniecie przez to podwójną korzyść: po pierwsze dzieci wasze nabiorą ogłady, ponieważ jasne, piękne sale fabryczne są doskonałymi zakładami wychowawczymi; nauczą się one tam posłuszeństwa i porządku. Po wtóre: powiększycie sobie dochód przez zarobek, jaki dzieci z fabryki przyniosą do domu.

Rodzice usłuchali wezwania.

I znowu kapitalistyczna sala tortur wzbogaciła się jednym numerem, może najstraszniejszym: dzieckiem przy pracy!

I otóż wszystko dzieje się wbrew naturze.

Dziecko, które ze swoim usposobieniem motyla z kwiatka na kwiatek skacze, którego całe istnienie jest wesołą zabawą, które każdy krępujący je przymus do dłuższego zatrudnienia odczuwa boleśnie, które powinno z uśmiechem na ustach, bez troski prze-

biegać drogę życia — mała istotka, która w naszym skostniałym świecie celowości uosabiać winna wdzięczną bezcelowość naturalnego istnienia — która swoją swawolą, prostotą, beztroską w nasze porządne, trzeźwe życie rzucać miała promienie słonecznego światła — to dziecko zostało wprzężone w bezduszny mechanizm fabryki, złożone w ofierze systemowi celowości, przykute do maszyny bezlitośnie od niego wymagającej wykonania oznaczonej pracy. Opustoszały place zabaw! Zamilkły wesołe śpiewy i uśmiechy!

A jak ciężko te biedactwa pracować muszą!

W 1840 r. rząd angielski ogłosił urzędową ankietę o położeniu robotników w przemyśle, zwłaszcza dzieci. Otwierając pierwszą lepszą kartę tego urzędowego dokumentu, czytamy co następuje:

W górnictwie. Istnieją wypadki, że dzieci już w 4-ym roku życia, czasami pięć-sześć-siedmio lub ośmioletnie zaczynają pracować w kopalniach; przeciętny wiek, w którym dzieciak zaczyna tę ciężką pracę jest ósmy lub dziewiąty rok życia. Znaczna część ludzi pracujących w kopalniach nie ma jeszcze lat 13; jeszcze znaczniejsza liczba ma 13 — 18 lat.

Rodzaj zajęcia, jakie powierzono najmłodszym dzieciom, mianowicie strzeżenie wyjść w korytarzach, wymaga, aby dzieci znajdowały się w kopalni już przy rozpoczynaniu czynności — a opuszczały pracę po zupełnym jej ukończeniu. Zatrudnienie to, zasługujące zaledwie na miano pracy, należy do potwornych osobliwości, ponieważ dzieci najczęściej samotne przebywają w zupełnych ciemnościach: jedyną rozrywką są taczki z węglami, które przesuwają górnicy od czasu do czasu. W szybach, gdzie pokłady węglowe są tak potężne, że trzeba używać koni lub tam, gdzie ganki nie są zbyt długie — położenie dzieci jest stonunkowo mniej smutne, mniej nudne i nie tak odurzające, ponieważ przez główne ganki wpada nieco świa-



tła. Jednakże w innych szybach biedne dzieci przez cały czas trwania zajęcia pozostają zupełnie samotne w ciemnościach. Dzieci opowiadają nieraz, że przez większą część zimy przechodzą całe nieraz tygodnie, a one nie widzą słońca—chyba w te dni, gdy praca w kopalni ustaje, lub w niedzielę.

W rozmaitym wieku, począwszy już od szóstego roku życia biedny dzieciak zaczyna ciężką pracę pchania i ciągnięcia taczek naładowanych węglami.

Wtajemniczeni zapewniają, że jest to praca wymagająca ustawicznego wyteżenia wszystkich sił młodego robotnika.

Warunki pracy w przemyśle i manufakturze. Zdarzają się wypadki, że dzieci już w trzecim lub czwartym roku zaczynają pracować—nie rzadko to się dzieje w piątym i między piątym a szóstym rokiem życia—wogóle zaś zazwyczaj dziecko zaczyna pracować między siódmym a ósmym rokiem życia. Większa część dzieci zatem zaczyna pracować przed rozpoczęciem dziewiątego roku życia, chociaż w niektórych zajęciach dopiero dziesięcioletnie lub dwunastoletnie, a nawet starsze wyrostki bywają przyjmowane do zajęcia.

Większa część robotników, zajętych w przemyśle i manufakturze, składa się z wyrostków którzy nie ukończyli jeszcze trzynastego roku życia, a jeszcze znaczniejsza z takich, którzy mają 13—18 lat, chociaż w wielu wypadkach liczba dzieci, nie mających trzynastu zupełnie dorównywa liczbie wyrostków mających po 13—18 lat; czasami zaś, jak pouczają przykłady, przewyższa ją znacznie.

W bardzo wielu stosunkowo gałęziach przemysłu i manufaktury pracują dziewczęta również tak młode, jak chłopcy. Czasami nawet ilość dziewcząt bywa większą. W niektórych nawet, dość nielicznych wypadkach, robota, o ile powierzona być może

nioletnim — wykonywana jest całkowicie przez małe dziewczątka lub młode panny.

W większości wypadków warsztaty pod względem kanałów, wentylacji i niezbędnej regulacji temperatury są wadliwie urządzone — częstokroć nawet pod względem czystości wiele pozostawiają do życzenia.

Nawet tam, gdzie w przemyśle i manufakturze zastosowano trujące materje—najczęściej niema żadnej garderoby w celu zmiany ubrania przy wyjściu do domu—nie ma również umywalni dla robotników, którzy w czasie pory obiadowej pozostają w fabryce. Jeszcze rzadziej są urządzenia, pozwalające robotnikom na warzenie lub przygotowanie jedzenia.

Wszędzie ustępy są utrzymane w stanie obrzydliwym—w bardzo wielu miejscowościach są wspólne dla mężczyzn i dla kobiet. Jednakże w budynkach niedawno powstałych znać już większe staranie o zdrowie i wygody robotnika, niż w dawniejszych.

W niektórych wypadkach długość dnia roboczego nie przekracza 10 godzin, obliczając czas na obiad przeznaczony — czasami jednak wynosi ona 11, częściej 12 godzin, a w wielu bardzo wypadkach dzień roboczy trwa 15—16, a nawet 18 bezpośrednio po sobie następujących godzin.

Prawie wszędzie dzieci pracują tak długo, jak dorośli robotnicy — czasami 16, nawet 18 godzin na dobę, bez żadnej przerwy.

W wielu gałęziach przemysłu i manufaktury, jak w fabrykach igieł, koronek, pończoch, tytoniu, w drukarniach perkalików i w garncarniach dzieci pracujące nie otrzymują ani dobrego, wystarczającego pożywienia ani ciepłej, przyzwoitej odzieży.

Dzieci, pracujące w podobnych zakładach, opowiadały, że nigdy nie były najedzone lub rzadko były syte. Ubiór biedactwa składa się najczęściej z lachmanów. Powszechnie też skarżą się, że dzieci te nie uczęszczają nigdy do kościoła, ani też do szkół-



łek niedzielnych, ponieważ nie mają porządnej odzieży.

Tak wyglądają owe „zakłady wychowawcze”, w których mali robotnicy mieli przyzwyczajać się do porządku i czystości, oraz kształcić się na porządnym obywateli i pożytecznych członków społeczeństwa.

Ankieta angielska wskazuje też na podstawie zebranych informacji, jakie skutki wywarły takie zakłady „wychowawcze“:

„Pewna część w ten sposób zatrudnionych dzieci wygląda zdrowo, jest ożywiona, chociaż w ogólności nie dochodzi do normalnego wzrostu, ale w ogromnej większości wypadków fizyczny stan dzieci cierpi poważnie wskutek jednoczesnego wpływu przedwczesnej pracy i niedostatecznego odżywiania się i ubrania: dzieci są karłowate, blade, mają wygląd chorowity—słowem czynią wrażenie pokolenia, które coraz bardziej traci zasób sił fizycznych.

Najczęściej grasują między nimi następujące choroby, które—dodajmy—są dla nich dotkliwsze niż dla dzieci tego samego wieku i stanu, nie potrzebujących pracować: chorobliwy stan organów odżywiania się, kurcze, skrzywienie mlecza piersiowego, zdeformowanie członków i choroby płuc, kończące się blednicą lub suchotami“.

A „wychowanie“, owo główne zadanie, jak się przedstawia?

Jedenastoletnia dziewczynka opowiada, że uczęszcza wprawdzie do szkoły codziennej i niedzielnej—nie słyszała jednak o jakimś innym świecie, niebie lub innym życiu.

Siedmnastoletni młodzieniec nie wiedział, ile jest dwa razy dwa, nie mógł się zorientować, z ilu sztuk drobnej monety składa się większa, chociaż miał ją zmienioną w rękę.

Kilku chłopców nie słyszało nigdy o takiej miejscowości, jak Londyn — ba! nie wiedziało nawet

o istnieniu sąsiedniego miasteczka, z którym mieszkańcy danej miejscowości ustawicznie utrzymywali stosunki.

Inni nie znali imienia króla, nie wiedzieli o najznakomitszych mężach zasłużonych ojczyźnie lub wszechświatowej sławy.

Znamienną jest jednakże rzeczą, że te same wyrostki, które nigdy nie słyszały o Św. Pawle, o Mojżeszu, czy Salomonie, doskonale znały nazwiska sławnych bandytów i złodziei.

Nawet u dzieci, uczęszczających do szkoły, uważano dziwną płataninę pojęć. Dziecko, które przez sześć lat uczęszczało do szkoły — powiedziało naprzykład:

— Ja wiem, kto był Jezus Chrystus. On umarł na krzyżu i przelał krew, aby ratować naszego Zbawiciela.

Inny 16-letni chłopak tak rzekł:

— Jezus dawniej był królem Londynu.

W czasie modlitwy wieczornej dzieci wymawiają tylko dwa pierwsze wyrazy: „Ojcie Nasz“—i to jest wszystko, co znają z Modlitwy Pańskiej. Niejedno zaś mniema, że słowa te odnoszą się do ojca, z którym codziennie spieszą do pracy.

Według sprawozdania Mr. Horna o stanie umysłowym i moralnym młodych robotników w okręgu Wolverhampton, większość dzieci stoi na ogromnie niskim poziomie: nie dla tego, żeby były szczególnie zepsute i występne, ale po prostu dla tego, że brak im wszelkiego poczucia moralności. Częstość dzieci te pozbawione są wszelkiego moralnego poczucia obowiązku i przywiązania do rodziców.

„Przypisuję to“—mówi sprawozdawca—po większej części tej okoliczności, że dzieci w tak wczesnym wieku zaprzegane są do roboty i że rodzice wyłącznie myślą i troszczą się o to, jakim sposobem dzieciak mógłby jak najwięcej zarobić. Dziecko od-



czuwa instynktownie, że jest tylko częścią maszyny, którą używają do roboty. Przy nieustannej pracy w tych warunkach miłość dla rodziców słabnie, a wkrótce zamiera zupełnie. Rodzeństwo częstokroć wcześniej rozłącza się;—później nawet nie dowiaduje się wzajemnie o swoich losach: wszak nie mieli nawet czasu poznać się, a cóż dopiero pokochać!

Taka wczesna praca wprowadza wrażliwe dusze dzieci w bezpośredni kontakt z wszelkiego rodzaju brutalnością i pospolicnością i wskutek tego wszelkie zamiłowanie prawdy, każde łagodne uczucie—krótko mówiąc, każda zaleta charakteru jest zagrożona, wszelkie zasady moralne, o ile w umysł dziecka próbowanoby je wpoić, zamierają w zarodku.

W większej części krajów najgorsze z tych objawów, przynajmniej niektóre, starano się usunąć na drodze prawodawczej. „Dziecko robocze“ wszakże nie zniknęło jeszcze z horyzontu społecznego życia. W Niemczech przed kilku jeszcze laty liczone przeszło pół miliona (544,000) pracujących dla zarobku dzieci niżej lat 14 (nie licząc zatrudnionych w rolnictwie i służbie domowej); przeszło połowa zajęta była w przemyśle; znaczna część (135,000) była zajęta przez trzy, cztery godziny przed pójściem do szkoły roznoszeniem pieczywa dla bogatszej klienteli—inne dzieciaki zatrudnione były w handlu, mianowicie sprzedają uliczną zapalek, pomarańcz, rozmaitych zabawek i drobnostek.

Pojęcie jednak pracy dziecięcej i rozkładowego jej działania sięga dalej, niż to się pospolicie rozumie. Statystyka i prawodawstwo mówią o dzieciach zarobkujących, gdy rozpoczynają pracę w 10, 12 roku—najwyżej, jak w Niemczech, gdzie opieka nad małolletniami najdalej sięga, w 13 i 14 roku życia.

Dziećmi jednak prawdziwymi, w znaczeniu spólnoty rodzinnej, pozostają dorastający chłopcy i dziewczęta jeszcze przez długie lata, gdy je prawo z tej nazwy uwolniło. Do dzieci zaliczać trzeba młodzież

w 18, nawet w 20 roku życia. Najpiękniejszy kwiat prawdziwego życia rodzinnego rozwija się wówczas, gdy dzieci zaczynają coś rozumieć, gdy stają się ludźmi. Najżywszych wrażeń rodzinnych doświadczają jeszcze niedorośli chłopcy i niedorośle dziewczęta: pobożność, poszanowanie, posłuszeństwo, uznawanie powagi starszych i innego rodzaju cnoty właśnie w tych latach chłopięcych najlepiej wdrażają się w umysły dorastającej młodzieży.

Ustawiczne stykanie się z dorastającą młodzieżą, z temi „przyszłemi ludźmi“, — łagodne kierownictwo młodych, garnących się do życia dusz — nastrecza rodzicom wiele zadowolenia.

Dla młodszego rodzeństwa jest starszy brat i dorastająca siostra przykładem, naturalnym przyjacielem i doradcą.

Smutna. — albo raczej żadna rodzina — jest ta, w której węzeł rodzinny zrywa się wówczas, gdy dzieci jeszcze nie dorosły — gdy ginie bezpowrotnie najpewniejszy czynnik oddziaływania na ich charakter, mianowicie ciepło ogniska domowego.

Powszechny to już dziś i charakterystyczny objaw, że wyrostki i podlotki z proletariatu prowadzą życie samodzielne. Młodych, samodzielnych robotników liczyć można na miliony. W Niemczech w r. 1895 osób samodzielnie pracujących w wieku niżej lat 20 było przeszło 4 miliony, czyli prawie ćwierć (22,3%) ogółu pracujących, a liczba ta szybko i stale rośnie, zwłaszcza w przemyśle i handlu, gdzie, nie licząc innych gałęzi zarobkowania, przekroczyła dwa miliony. Tak w 1882 liczba osób samodzielnie zarobkujących w przemyśle, nie mających lat 20 — wynosiła 19,7%, w 1895 już 21,9%; w handlu zaś i przedsiębiorstwach przewozowych w 1882 — 11,7%, w 1895 — 15% ogółu pracowników.

Zarobkowa praca dorastającej młodzieży w latach, które w naturalnym biegu rzeczy powinny być poświęcone jeszcze nauce — zawdzięcza swój początek



przedewszystkim między rodziców. Bieda to sprawa, że rodzice radzi są, gdy dzieci idą na zarobek i sami głód swój zaspokoić potrafią. Jednakże niewątpliwym źródłem tego zjawiska jest wzrastający wciąż popęd do niezależności, występujący coraz silniej u młodego pokolenia, dążącego do wyzwolenia się z zależności rodzinnej. I jest to znowu wyłączny wpływ ustroju kapitalistycznego, wytwarzającego taką organizacją pracy, która, jak to już tyle razy miałem sposobność wykazać, daje możliwość ujawnienia zdolności zarobkowania siłom młodzieńczym, niedojrzałym i niewykształconym.

Aby ocenić należycie doniosłość tego zjawiska—musimy sobie dokładnie uprzytomnić, że jedyny w swoim rodzaju system podporządkowania, charakteryzujący dawniejszą rodzinę, który położył podwaliny podcały szereg szczególnych jej właściwości, przymiotów i wynikających z nich poczucia oraz poszanowania pewnego autorytetu — w rzeczywistości polegał na ekonomicznej zależności dzieci aż do zupełnej dojrzałości. Im dłużej system gospodarczy opóźnia ekonomiczne usamowolnienie młodego pokolenia—tym większe znaczenie w odnośnej warstwie ludności posiada autorytet.

Najsilniejszym jest on u dawnych chłopów, u których właściwie tylko najstarszy syn staje się samodzielnym, a to wówczas dopiero, gdy jako człowiek dorosły objął po ojcu gospodarstwo.

Autorytet jest silnym jeszcze w dawnym stanie rzemieślniczym, gdzie dopiero stanowisko majstra, w najlepszym razie czeladnika—czyni młodego człowieka niezależnym. Kobieta w tych systemach gospodarczych pozostaje przez całe życie ekonomicznie niesamodzielną i z tego powodu poddaną w stosunku do męża.

W proletariacie stosunki te zmieniają się zupełnie. Szesnasto i siedemnastoletnia młodzież płci obojga „zarabia samodzielnie”. Łączności rodzinnej nie

potrzebuje zupełnie. A ponieważ nie potrzebuje jej już pod względem ekonomicznym, przeto nie jest już zmuszoną, wbrew swej woli, nieść w ofierze swoją samodzielność i wolność, co nawet człowiek zależny również niechętnie czynić musi.

Podobnie jak dziecko chce się wyzwolić z pod ekonomicznej i moralnej władzy rodziców — czyni to również żona w stosunku do męża.

Wybitny indywidualizm naszych czasów ma mocne korzenie w szerokich warstwach ludności, mianowicie proletariatu, i jest bezpośrednim skutkiem nowego ukształtowania się stosunków zarobkowych.

Dla każdego bezstronnego badacza będzie rzeczą nie ulegającą żadnej wątpliwości, że zrywanie niedawnej łączności rodzinnej przez młode pokolenie, czego ustawicznie jesteśmy świadkami, sprawia wielkie zamieszanie w stosunkach społecznych.

\* \* \*

Dawniejsze epoki kulturalne знаły zależnego robotnika, który nie był samoistnym gospodarczym subjektem, a więc nie produkował na swoje ryzyko, lecz najmował się innym, wytwarzał dla obcych ludzi. Do tej kategorii należeli: niewolnicy w starożytności, chłop pańszczyźniany w wiekach średnich—czeladnicy i terminatorzy w rzemiośle.

Wszystkie te jednak stosunki zależności ubiegłych czasów miały jedną wspólną cechę charakterystyczną; ów pan i parobek, majster i czeladnicy—słowem kierowniczy subjekt gospodarczy i w jego służbie zostające organy łączył węzeł, który zasadniczo był czymś innym zupełnie niż w zwykłym stosunku kupna i sprzedaży pracy, łączył bowiem pana i sługę trwałą wspólnotą pracy.

Owa wspólnota pracy była dla zależnego pracownika pewnego rodzaju ostoją moralną i materjalną. Ona wyrывała go z objęć zabójczego odosobnienia, ona włączała w organiczną całość ludzkości, ona



wreszcie sprawiała mu ulgę w trapiącej go codzien-  
nie trosce o powszedni kawałek chleba.

Spostrzegamy to nawet w starożytnych stosun-  
kach niewolniczych, które, jak się okazuje, pierwot-  
nie, na przykład w Grecji i w Rzymie, były patryjar-  
chalne. Panów i niewolników łączył węzeł obyca-  
jowy: patrycjusz rzymski czuł wobec swojego niewolni-  
ka pewną moralną odpowiedzialność—niewolnik oka-  
zywał swojemu panu wierność i przywiązanie. Do-  
piero z chwilą rozwoju zasad kapitalizmu zburzone  
zostały starodawne stosunki służbowe, zniknęły wszel-  
kie moralne pierwiastki w stosunku panów do nie-  
wolników. Ale jeszcze wówczas pozostawał niewol-  
nikowi pewien rodzaj ekonomicznego zabezpieczenia,  
które zawdzięczał tej okoliczności, że panu musiało  
zależać na utrzymaniu jego istnienia.

Bardzo ścisłą wspólnotę wytworzyły wieki śred-  
nie w organizacjach rzemieślniczych. Stosunek kie-  
rownika produkcji w rzemiośle — t. zw. „majstra“—  
do jego personelu pomocniczego, a więc czeladzi, pa-  
robków, pachołków, chłopców, sług, pomocników, asy-  
stentów, terminatorów, i jak oni się tam wszyscy na-  
zywają, oraz wzajemny stosunek pomocniczego perso-  
nelu do majstra, można dopiero wówczas zrozumieć,  
jeżeli sobie uprzytomnimy ów familijny charakter  
ówczesnego rzemiosła: wspólnota rodzinna jest najdaw-  
niejszą formą tego systemu gospodarczego. Forma ta  
utrzymuje się jeszcze wówczas, gdy do spółdziałania  
w produkcji przystąpiły obce osoby. Czeladnik i ter-  
minator wstępują zupełnie do koła rodzinnego—po-  
wstaje nowa wspólnota rodzinna, złożona z majstra, jego  
żony, dzieci, czeladzi i terminatorów, która jest jed-  
nostką wytwórczą i domowo-gospodarczą: jest to or-  
ganiczna całość, podobna do tej, jaką tworzą rodzice  
i dzieci.

Jednocześnie drugą rodziną dla poszczególnego  
pracownika w rzemiośle był cech. Wobec cechu miał  
on pewne obowiązki—cech jednak troszczył się o nie-

go, gdy popadł w biedę. Wędrowny czeladnik w każdym mieście, do którego przyszedł, znajdował gospodę swojego cechu, gdzie mógł przemocować, spotykał towarzyszków, którzy się nim zajęli, wyszukali mu pracę, dali utrzymanie. Czelaadnik nigdy nie był samotny.

Węzły te, ta patryjarchalna spólnota między robotnikiem a pracodawcą w rzemiośle trwała jeszcze długi czas wówczas, gdy już zaczął panoszyć się społeczny kapitalizm. To znaczy, że społeczny stosunek robotnika-proletariusza do pracodawcy przez długi czas miał w sobie pewne rysy patryjarchalnych stosunków robotniczych.

Do tej kategorii należy kontraktowo związany robotnik rolny, który jest „wolnym“ najmitą, a nie niewolnikiem, ani poddanym w rozumieniu prawnym, a jednak względem swojego pana pozostaje w pewnym stosunku poddańczym i jest z nim związany węzłami spólnoty pracy. Istnieje kontrakt, który robotnika wiejskiego i jego rodzinę wiąże na cały rok — mieszka on w budynku, wyznaczonym mu przez pana, za pracę (ściśle nieokreśloną) otrzymuje kawałek gruntu, położonego wśród pól należących do dóbr dziedzica, krowę, która pasie się na jednym pastwisku z pańskim bydłem — wreszcie dostaje część płodów ziemi, którą uprawia. W ten sposób jego interesy są solidarnie związane z interesami dziedzica, co znajduje swój wyraz w patryjarchalnym stosunku służbowym. Znowu więc taki robotnik rolny jest zabezpieczony od osamotnienia, od nędzy i głodu.

Podobny stosunek utrzymywał się jeszcze długo za panowania kapitalizmu w handlu i przemyśle. Zwłaszcza w kupiectwie starej daty bardzo silnie zaznaczał się familijny stosunek między pryncypałem a jego pracownikami. Przypomnę tylko piękny opis patryjarchalnych stosunków w domu „Schröter i S-ka”



w znanej powieści Gustawa Freytaga „Soll und Haben“ \*).

Czysto proletarjacki stosunek pracy wolny jest zupełnie od wszelkich etycznych i patryjarchalnych dodatków. Jest on nawskroś przesiąknięty zasadami kapitalizmu. Nowoczesny kontrakt pracy nie powinien być niczym innym, jak tylko interesem, zawierany przez poszczególnego robotnika z przedsiębiorcą w sprawie pewnej, ściśle określonej pracy. Wypłata gotówki—to jedyny węzeł łączący kontrahentów. Niema tu mowy o wspólności interesów, ani o wspólnej pracy.

Dla robotnika oznacza to odosobnienie, zupełne zizolowanie.

Pod względem moralnym: robotnik nie stoi w żadnym wewnętrznym, dobrym stosunku do pracodawcy; nie jest wobec niego zobowiązany do żadnej wdzięczności, nie jest mu w zupełności oddany, ale też wzajemnie pracodawca nie ma dla niego życzliwości, nie udziela mu rady i pomocy — nie okazuje ojcowskiej troskliwości.

Pod względem materialnym: ponieważ umowa z przedsiębiorcą zawarta została na czas krótki i przedsiębiorca zawsze ma prawo uwolnić robotnika; ponieważ dalej umowa dotyczy zawsze tylko ściśle określonych czynności i sama przez się rozwiązuje się, gdy robotnik czy to chwilowo (z powodu choroby i podobnych przyczyn) czy stale (z powodu starości, kalectwa i t. p.) zobowiązań swoich spełniać nie może—przeto pracownik związany z pracodawcą tylko proletarjacko-kapitalistycznym stosunkiem jest

---

\*) Polski czytelnik znajdzie niemniej szczytne przykłady w powieści Prusa „Lalka“. O wiejskich starych sługach, dobrych dziedzicach, przywiązanych do dziedzica chłopach każdy z czytelników zna niewątpliwie powieści i opowiadań bez liku.

(Przyp. tłum.).

zawsze narażony na utratę miejsca i możność zarabiania na życie. Bo nie mieć pracy znaczy dlań być pozbawionym zarobku; a brak zarobku—to brak chleba, niemożliwość wprost życia!

Młody robotnik, pełen dobrych myśli, ożywiony różowemi nadziejami na przyszłość—zakłada ognisko domowe. Z początku wszystko idzie doskonale. Zarabiał już dobrze jako monter w fabryce maszyn, żona pracowała w olbrzymim magazynie konfekcyjnym. Już zaczęli po trochu spłacać mebelki, wzięte na raty, już zdawało się, że można będzie coś odkładać na czarną godzinę. Naraz zaczyna mąż niedomagać. Nie może już tyle zarabiać, co przedtym. Więc żona pracuje za dwoje, ale wyczerpuje się—rodzić zaczyna dzieci chorowite. Lekarz i aptekarz pochłaniają olbrzymie sumy. Dochód się kurczy, wydatki rosną. Handlarz mebli dusi o zalegające raty — nie zważa na zapewnienia, że zapłacą znowu, jak tylko zaczną więcej zarabiać... Tymczasem choroba męża trwa dalej. I oto pewnego dnia biedne, schorowane człeczysko otrzymuje zawiadomienie, że mu wymówiono miejsce; przy jego warsztacie postawiono świeżą siłę roboczą...

Młode ognisko rodzinne zburzone!

Buchalter lub subjekt zestarzał się i osiwiiał, pracując w jednym interesie handlowym. Całe życie walczył z kłopotami, ale wychował dzieci; wyszły już z domu rodzicielskiego—pracują na siebie; ojciec ma więc nadzieję, że starość będzie miał wolną od kłopotów. Może liczyć na to, byleby utrzymał się na stanowisku, na którym zdobył sobie uznanie długoletnią wytrwałą pracą i sumiennym spełnianiem swoich obowiązków. Zawiodła go jednak nadzieja. Interes firmy wymagał zastąpienia sił starszych, steranych pracownikami młodszymi, których praca byłaby bardziej produkcyjną. Starzy niech idą, gdzie chcą — niech gdzieindziej szukają chleba.



Troski i kłopoty w starości nie opuściły biednego urzędnika.

Ale to są wszystko szczególne przypadki, w których jeszcze całkowicie nie ujawnia się, jakim właściwie jest los proletariusza. Choroba, wyczerpanie, wiek po wszystkie czasy ciążyły nad biednym człowiekiem i do całego szeregu cierpień duszy i ciała dodawały jeszcze troskę i smutek, utrudniały, a niejednokrotnie nawet uniemożliwiały mu egzystencję. Wypadkiem jednak najstraszniejszym, a nieznanym w dawnych czasach, przynajmniej jako zjawisko tak powszechne—jest „brak pracy”—charakterystyczny fakt, że nawet zdrowy i chcący pracować robotnik nie może znaleźć pracy, a więc zarobku.

W izbie siedzi matka, otoczona dziećmi i czeka na męża, który poszedł „za robotą”. Od czterech tygodni ta sama piosenka: człowiek silny i zdrowy, któremu robota w rękę się pali—bez miejsca!

Drobne oszczędności wyczerpane, przedmioty wartościowe zastawione; w sklepiku rachunek rośnie; niebawem odmówią już i tam kredytu; trzeba jeszcze najniezbędniejsze suknie i pościel zanieść do lombardu; gospodarz grozi wyrzuceniem za komorne od miesiąca niezapłacone. A robotnik takby chciał pracować, od świtu do nocy, byleby nędzę odegnać.

Cóż—kiedy roboty jak niema, tak niema. Został on wydalony z powodu zastoju interesów w przedsiębiorstwie—jednocześnie zaś wypowiedziano miejsce kilku tysiącom towarzyszków. W tych warunkach jakąż słabą nadzieją znalezienia roboty i zarobku!

Do głębi to przejmujący widok, gdy przed bramą fabryki widzi się setki silnych mężczyzn po raz nie wiadomo który dowiadujących się—i zawsze nadaremnie—czy niema pracy. Serce się ściska, gdy na drodze spotyka się zdrowych, tęgich ludzi, odzianych w lachmany, sunących krokiem ociężałym. Na pytanie, dokąd idą—odpowiadają: od tyłu a tyłu dni i tygodni roboty szukamy! Przykry to widok, gdy

setki białych, wycieńczonych postaci gromadzi się przed kantorem miejscowej gazety, tłum chciwie rzuca się na świeży numer, chciwie przegląda rubrykę „posad i pracy zaofiarowanej“ i biegnie szturmować o miejsce, a każdy myśli, że będzie pierwszym, że wszystkich uprzedzi! Jakiż to straszny obraz, gdy w wielkich miastach tworzą się zastępy pozbawionych pracy i niby armja pokonana przez wroga w milczeniu przeciągają ulicami, niczego nie żądając — tylko pracy!

„Społeczny brak pracy“, jak nazwano ten społeczny objaw — jest zjawiskiem, towarzyszącym stale kapitalistycznemu systemowi produkcji. Wynikł z rytmu, właściwego temu systemowi, z podnoszenia się i opadania konjunktur, zmniejszania się i zwiększania roboty sezonowej. Brak pracy wznaga się w pewnych porach roku — w zimie naprzykład, gdy ruch budowlany ustaje. Natężenie jego w ciągu dłuższych okresów zmienia się nieregularnie, zależnie od powtarzania się gospodarczych przesileni.

W złych okresach może znajdować się bez pracy do 10<sup>o</sup>/o ogółu robotników: w okresie dobrych konjunktur armja pozbawionych pracy zostaje zatrudniona prócz nieznacznej ilości, która zawsze przy największym nawet rozkwicie ekonomicznym niby osad zostaje na wierzchu. W krajach o kapitalistycznej gospodarce, w środku nawet lata, jest zawsze kilkadziesiąt tysięcy ludzi „bez pracy“ w znaczeniu o jakim tu mówimy, to znaczy ludzi, którzy mogą pracować, ale pracy nie znajdują — a więc nie mogą być zaliczeni do włóczęgów, chorych, czy inwalidów. W Niemczech podczas ostatniego spisu ludności 1895 r. osób takich naliczono 143,166 w jednym dniu, t. j. 14 czerwca. W tym samym roku, który można nazwać rokiem pomyślnym, dnia 2 grudnia naliczono 479,000 osób pozbawionych pracy — to znaczy 3,49<sup>o</sup>/o ogółu pracujących.

Według statystyki angielskich stowarzyszeń



zawodowych w latach niepomyślnych liczba robotników pozbawionych pracy podnosiła się do 7<sup>o</sup>/<sub>o</sub> i wyżej ogółu pracujących (w 1893 do 7,5<sup>o</sup>/<sub>o</sub>). I to są „robotnicy wykształceni“, elita klasy robotniczej, wśród której brak pracy jest mniej częstym objawem, niż wśród robotników niewykształconych, należących do niższej warstwy klasy robotniczej.

Tak więc setki tysięcy, a w gorszych czasach miliony ludzi zdolnych do pracy i chcących pracować w naszych krajach kulturalnych skazani są na nędzę i głód dla tego tylko, że społeczeństwo nie ma dla nich pracy.

Sądzę, że świadomość tego faktu miała szczególne znaczenie w ukształtowaniu się nowoczesnej psychy proletarjackiej. Zobaczmy później, jaki nastrój dusz musiał być tego wynikiem.

\* \* \*

Nakoniec utracił proletariusz niemal zupełnie wspólnotę życia, jaka przedtem wynikała z przynależności do tego samego zawodu. Nietylko dla tego, że wszystkie stare węzły wynikające z jednej profesji, które dawały poszczególnemu profesjonście oparcie w życiu, rozluźniły się z rozwojem kapitalizmu: społecznym prądom złożono w ofierze także wszystkie uczucia przynależności do pewnej zawodowej grupy, zawodowy humor, zawodową dumę, któremi był przejęty poszczególny robotnik, która tego robotnika podnosiła i nieocenionym duchowym węzłem wspólnoty zawodowej wiązała z towarzyszami.

Coraz luźniejsze bowiem były zarówno zewnętrzne, jak wewnętrzne stosunki; coraz bardziej słabnie łączność robotnika z pewnym określonym rodzajem pracy.

Nowoczesny najmita z najrozmaitszych przyczyn zmienia rodzaj swojego zajęcia i pracuje czasowo w najrozmaitszych zawodach. Przytoczę tutaj

szczególnie jaskrawy przykład.—Herkuier opisuje wypadek następujący: pewien znany mu robotnik w wędrówkach po Szwajcarji oraz Południowych i Północnych Niemczech kolejno pracował w następujących zawodach: zaczął jako szlifierz w fabryce wyrobów srebrnych, potem był w fabryce instalacji gazowych, a następnie w fabryce gazowej; stąd poszedł do przędzalni, potem do fabryki maszyn, aż w końcu znowu powrócił do fabryki wyrobów srebrnych. Jakiś czas wykuwał łyżki, poczem dostał zajęcie w fabryce czółenek do maszyn do szycia. Później wszedł do zakładu mleczarskiego, pobyl czas jakiś w warsztatach okrętowych i fabryce kotłów i znów powrócił do srebrnych wyrobów.

Z jakąż pracą zawodową miał ten robotnik zrość się i zespolić? Zapewne, jak wyżej powiedziałem, wypadek to wyjątkowy i jaskrawy. Każdy jednak, kto miał sposobność zapoznania się z temi stosunkami, wie doskonale, że częsta zmiana zajęcia wśród robotników jest zjawiskiem stałym i normalnym.

Prócz takich zmian dowolnych, subiektywnych—działa także obiektywna, przymusowa zmienność, właściwa nowoczesnej technice przemysłowej.

Wiadomo, że żyjemy w epoce pojawiania się niezmiernie licznych, nowych gałęzi pracy zawodowej. Odnosi się to przedewszystkim do sfery produkcji przemysłowej. Tutaj stare rzemiosło po większej części zastąpione zostało przez zupełnie w nowy sposób ukształtowany rodzaj zajęcia.

Czynności, dawniej tworzące jedną całość — zostały rozłożone na odrębne działania, czynności zupełnie różne złączono w jeden proces produkcji; powstało mnóstwo zawodów dawniej nieznanych—jak na przykład przemysł chemiczny i produkcja surogatów.

Nie jest to jednak jedyną właściwością kapitalistycznego ustroju gospodarczego, że wysuwa zawodowe nowotwory. Niemniej jednak jest znamienym, że



w kapitalistycznym ustroju gospodarczym każda nowa gałąź przemysłu wciąż podlega dalszemu rozkładowi—tak, że nigdy nie ustaje tworzenie się nowych form zawodowych. Związane to jest ściśle i w równej mierze z właściwością kapitalistycznych interesów, będącej na jego usługach techniki oraz organizacji przemysłu. Już tego rodzaju zewnętrzne przyczyny z powodu ustawicznej zmiany tłumić muszą rozwój przynależności zawodowej, a tym samym świadomość spółnoty zawodowej.

Jeszcze bardziej zuamiennym jest fakt, że coraz mniej staje się możebnym przy pomocy myślenia i czucia wytworzyć stały stosunek wewnętrzny pracownika do pewnego oznaczonego zawodu. Niewątpliwie poczucie przynależności zawodowej jest tym silniejsze, im szczególniejszy jest rodzaj wykonywanej czynności; natomiast poczucie przynależności zawodowej musi spaść do minimum, jeżeli praca oddzielnego robotnika traci swoją jakościową odrębność.

A właśnie społeczny rozwój w wielu dziedzinach życia gospodarczego, zwłaszcza w dziedzinie przemysłowej ma tę właściwość, że praca poszczególnego robotnika traci coraz więcej jakościową swoją barwę, a tym samym traci specjalną siłę budzenia zawodowej świadomości.

W większości wypadków przedewszystkim technika wyklucza powstanie świadomości zawodowej. Czynność pewna nie jest już wyrazem i wypowiedzianiem się człowieka, a staje się coraz bardziej mechaniczną. Jak w takich warunkach poszczególny pracownik może nabrać świadomości zawodowej? Krawiec, ślusarz, piekarz, garbarz—każdy z nich ma zakreślone koło czynności, które życiu jego dać mogą pewną treść, wypełnić je zadowoleniem, czy dumą; ale czy może nawiązać nie wewnętrznej łączności z pracą robotnik w fabryce proszku na owady, krążków na odciski lub kwasu siarczanego?

Dalej: technika empiryczna polegała kiedyś na osobistej umiejętności i osobistym wyuczeniu się;

technika nowoczesna opiera się na obiektywnej wiedzy.

Rzemieślnik pracę swoją otaczał nimbem tajemniczości, która znana była tylko jemu i jego najbliższemu otoczeniu. Dość wspomnieć tylko mistyczną niemal tajemniczość, jaką osłanianio niegdyś budownictwo. Dzisiaj proces produkcji opisany i w paragrafy ujęty został w podręcznikach i każdy niewielkim kosztem może go sobie przyswoić. W miejsce mistycznych tajemnic zawodowych mamy patenty za takim a takim numerem wydane. Nawet tajemnica fabryczna stała się przedmiotem handlu.

Za techniką przyszła nowa organizacja przemysłu: częściowo-kooperacyjna i automatyczny sposób produkcji. Widoczną teraz jest rzeczą, że te nowe formy produkcji nie mogą sprzyjać wytwarzaniu się świadomości zawodowej w pewnym specjalnym kierunku. Poszczególne robotnik nie ma już nic wspólnego z całością wytwórczości danej gałęzi przemysłu, stał się tylko bezmyślnym częściowym funkcjonariuszem w ogólnym procesie produkcyjnym. Czyż robotnica, obrabiająca dziurki w fabryce obuwia — może uważać się za szewca; albo za kowala — chłopak obsługujący maszynę do wyrobu gwoździ?

Dodać jeszcze trzeba, że wysoko rozwinięta społeczna organizacja zawodowa coraz więcej pola otwiera dla pracy niewykwalifikowanej a raczej bezjakościowej: dawniejsza wykwalifikowana praca ręczna ustępuje miejsca pracy maszynowej, w danych warunkach bardzo ciężkiej i niemniej trudnej do wyuczenia. I w tym wypadku znowu rozprzęga się związek robotnika z jego pracą—praca znowu staje się więcej bezmyślną.

Najważniejszą jednak w tym względzie jest ta okoliczność, że w ramach kapitalistycznej gospodarki techniczny robotnik nie jest wcale zainteresowany w gospodarczym wyniku swej pracy. To, co robi, nie jest bynajmniej jego zawodem w całym tego słowa



znaczeniu, lecz zawodem jego pracodawcy. Między należąciami do tego samego zawodu—panem i robotnikiem — powstaje rozłam skutek klasowego przeciwieństwa, które powstało między nimi. Obrzydza to robotnikowi całą jego pracę zawodową. Dawna wspólnota zawodowa przeradza się w coś, co jest jej zupełnym przeciwieństwem.

\* \* \*

W ten sposób przypatrzyliśmy się ze wszystkich stron istocie proletariatu. Badając, co traci robotnik, jeżeli porównamy jego warunki życia z położeniem innych grup społecznych, na których barkach dawniej spoczywał cały ciężar pracy gospodarczej — dowiedzieliśmy się jednocześnie: co on wzamian za to otrzymał. Jeżeli teraz wstecz spojrzymy i roztoczony wyżej szczegóły zbierzemy w jeden obraz, jakimże przedstawi się życie spółczesnego proletariusza?

Jałowe, puste, bez powabu i nadziei, bez rytmu, bez rozmachu, bez treści, jednostajne, monotonne, szare, jak zimny, pochmurny dzień listopadowy.

W męczącej takiej monotonii zamieniają się godziny w dni—dni w miesiące—miesiące w lata—a lata w życie całe!

Dzień!

Wiemy, jak się zaczyna, na czym schodzi i jak się kończy. Wczesnie, o świcie człowiek wychodzi z domu, długą drogę do fabryki przebywa piechotą lub w przepelnionych „roboczych pociągach“ kolei podmiejskiej. W fabryce czeka na niego praca, często odrażająca, niezdrowa, szarpiąca nerwy wśród zgrzytu i świstu, stuku i huku, trzasku i pisku maszyn. Pracuje półnagi, obłany potem w halach, gdzie panuje piekielne gorąco—lub w zimnych, wstrętnych szopach, gdzie wiatr przewiewa przez szpary. Przykuty do maszyny, która na chwilę nie pozwala odechnąć lub odpocząć i szpik z kości mu wysusza, mu-

si dotrzymywać kroku w tempie, jakie fabrykantowi podobało się zastosować, ażeby przedsiębiorstwo jak najwięcej dawało dochodu. Dzień cały upływa biedakowi często na wykonywaniu poruszeń, do których mała w sam raz byłaby zdolną. Za nim stoi znieawidzony dozorca, popędza go batem i zmusza, aby wszystkie siły wyteżył: ów dozorca—nazywa się werkmajstrem, a bat—to groźba wydalenia. Olbrzymia fabryka wymaga żelaznej dyscypliny: jednostka umieszczona tu została, jak kółko w wielkim, martwym mechanizmie. Rządzi tu nim rozkaz pański, obcy ludzie pilnują porządku. Zestarzał się może, posiwał już w pracy a—przecież jako najmita milcząco musi przyjmować rozkazy młodego werkmajstra, młodzieńczego dyrektora lub szefa.

Przez dzień cały nie opuszcza tego deptaka, nie wychodzi z fabryki, z placu budowy, czy z magazynu, prócz krótkiej chwili obiadowej: dla robotnika miejsce pracy—to dom właściwy, czego ślady widzieliśmy wyżej.

Wieczorem dopiero rozporządza sobą. Ale jest już zmęczony, wyczerpany, rozbity, niezdolny do poważniejszego zajęcia, chyba tylko z nadzwyczajnym natężeniem nerwów. Wiemy, co go czeka w domu: przepełniona hałaśliwa izba, w której niema ani wygod, ani spokoju. Trzeba się spać położyć, albo iść do przepełnionej zadymionej, smrodliwej knajpy.

A oto rok robotnika!

W jednostajnym pasmie dni powszednich od czasu do czasu przypada święto. Zwykle jednak trwa ono zbyt krótko, aby można odbyć wycieczkę za miasto, pójść do dobrego teatru lub na koncert.

Pogawędka w gronie znajomych w ciasnych, nędznych norach, gdzie — przynajmniej w wielkich miastach — gnieździ się proletarjat, nie ma żadnego uroku. Pozostaje znów knajpa — brudna, cuchnąca, zadymiona, śmierdząca knajpa — albo niemniej wstrętne, duszny, obrzydliwy tingel-tangel.



I tak tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem ta sama służba, ta sama bezmyślna, ciężka praca, ujadanie się z dozorcami—to samo wiecznie wstawanie do roboty i powracanie do domu. Nigdy zmiany, nigdy wytchnienia, żadnych wakacji, które dla innych ludzi są osią czynności przez rok cały. Jednostajne, monotonne wszystko, jak deszcz listopadowy, bez wzniesień, bez spadków, bez światła, lecz w szarej, delikatnej mgłę pogrążone.

I jakież życie z takich lat się składa. Już jako dziecko—jak widzieliśmy wyżej — zaczyna on ciężko pracować. Wczesnym rankiem, gdy ciemno jeszcze, musi wyjść z domu, aby roznosić bułki lub gazety przez kilka godzin, zanim rozpocznie się szkoła, do której przychodzi niewyspany i zmęczony. Wieczorem musi wystawać na ulicy i sprzedawać zapalki lub pomarańcze. Niejeden dzieciak w ciasnej, dusznej izbie kraje i klei opaski dla wydawcy. W najlepszym razie, skoro świt, spieszy do fabryki, która przyjmuje do roboty dziecko chętnie, jeżeli ma „wiek przepisany przez prawo”—a, jak wiemy, wiek to bardzo wczesny. I wtedy zaczyna się jednostajne bieganie w deptaku. Gdy potym serce żywiej bić zaczyna, gdy nadchodzą złote dni pierwszej miłości — wtedy nie ma już w nim nic, co mogłoby rozkwitać, radować się lub płakać. Dzieci wyrastają wśród bezładnych stosunków płciowych, bez wstydu i szacunku dla tajemnic życia miłości. Między chłopcem a dziewczyną, gdy znajdują się w fabryce, czy w sali tańca—po największej części objawia się już tylko namiętny (czasami nawet już nienamiętny) dobór płciowy, pozbawiony wszelkiego zapалу, czaru, uroku i blasku uduchowionej erotyki. Dla młodej pary proletarjackiej rzeczy te są zupełnie obojętne... Najpiękniejsza nawet chwila życia ludzkiego, gdy nawet nagi pień najzwyczajniejszego filistra wypuszcza kilka listków zielonych—dla proletarjusza niczym nie wyróżnia się w monotónji codziennego życia.

Wesele!

Być może, że za dawnych czasów tłum nie miał powodu do szczególnych wzruszeń—jednakże tysiącletni zwyczaj nadawał temu wypadkowi pewne znaczenie, otaczał go mnóstwem obrzędów i uroczystości. W chłopskim czy mieszczańskim weselisku ileż to było kunsztownych, tradycją uświęconych i dla tego pilnie zawsze przestrzeganych zwyczajów i obrzędów.

Dla proletariusza nie pozostało z tego wszystkiego nic!

Trzeba widzieć ten mały, wzruszający orszak weselny ubogiego proletariusza w wielkim mieście! Kilku przyjaciół i znajomych—może dopiero po fajerancie — piechotą lub tramwajem, często nawet nie w strojach weselnych towarzyszy młodej parze do domu. Załedwie starczy, ażeby weselnych gości poczęstować kawałkiem mięsa, postawić kilka butelek piwa lub kwaśnego wina. Młoda para załedwie na pół dnia mogła uwolnić się od codziennej żmudnej pracy, ażeby uczcić największe święto w swym życiu. Naza jutrz rano znowu do roboty i tak przez wszystkie dni następne do roboty—do roboty—nuże, do roboty!

Przychodzą dzieci! Nie rodzi się ich, ale raczej wyrzuca: na rodzenie czasu niema. I tu znów brak owego uświęconego tradycją zwyczaju, który nowonarodzone dziecię uroczyście w świat wprowadzał. Bez śpiewu i okrzyków radości, bez objawów wewnętrznego wzruszenia, czy zewnętrznego uniesienia, zupełnie obojętnie przyjęty zostaje w rodzinie robotniczej mały człowieczek. Dzieci robotnika przynoszą raczej na świat ze sobą nowe kłopoty i większe prawie nie do zniesienia trudy. Kuma-Troska, stara, otulona szarą płachtą niewiasta—wsuwa się do izdebki proletariusza, aby jej już nigdy nie opuścić: ona wytrwale oczekuje na ową chwilę, gdy na tym samym miejscu, gdzie stała kołyska — ustawiona zostanie trumna. Kuma-Troska staje się odtąd naj-



ulubieńszą towarzyszką przedewszystkim żony proletariusza. Młode to stworzenie, które nierozważnie zostało żoną, po kilku latach staje się spotykaną tak często zwiędłą, swarliwą, wiecznie zajętą i stroskaną babą, na której przekwitłej twarzy z każdej zmarszczki wyczytasz trwożne pytanie: jak wystarczyć, aby nakarmić coraz większą liczbę gęb? Skąd na pierwszego zapłacić komorne? Skąd wziąć na podatki? Skąd dostać pieniędzy na lekarstwo dla chorego dziecka? Czy aby mąż w sobotę nie przepije zarobku? Czy, broń Boże, nie straci miejsca?

I niema końca biedzie i udręczeniu. Takie jednostajne życie wlecze się z roku na rok — aż do ostatniego dnia. Żadnych przerw, żadnego rytmu!

Dziecko, młodzieniec, mężczyzna, starzec — wiecznie to samo: przykuty do taczki ciężkiej pracy! Niema mowy, przynajmniej dla szerszej masy, o wznoszeniu się na co raz wyższe stopnie. Żadnych wyzwolin z ucznia na czeladnika, z czeladnika na majstra ze wszystkimi tego awansu kłopotami i radościami — z rozmaitemi obrzędami i uroczystościami, które długoletni zwyczaj zamienił na kunsztowne i piękne święta — a które przeciętnemu człowiekowi wносиły tak nieskończenie cenny rytm w monotonne życie zawodowe. Żadnych widoków na spokojną, cichą starość! Przeciwnie, przeciętna cyfra zarobków najemnika już od jakiegoś 30 roku życia spadać zaczyna w sposób zastraszający. Żyć z zaoszczędzonych pieniędzy? Na to prawie nigdy nie wystarcza. Proletariusz nie dozna nigdy radości najdrobniejszego chłopca, najmniejszego rzemieślnika w utrzymaniu a nawet w mnożeniu swego szczupłego mienia. Szczęśliwi, wybrani są ci, którzy dochodzą do pewnego rodzaju niezależności, jako drobni sklepikarze lub szynkarze. Ale i to dla ogromnej większości jest niedostępne. Nawet tego celu w życiu swoim nie mają przed sobą. Ba, nie przyświeca im nawet nadzieja, która rozjaśnia dni drobnemu rzemieślnikowi, chłopu, czy urzęd-

nikowi, że przynajmniej dzieciom będą mogli lepszy los zapewnić. Dzieci robotnika rozpoczną jednostajną wędrówkę życia tam, gdzie ją rodzice przerwali. Drogę życia robotnika nader pięknie przedstawił nam Laermans w swoim obrazie:

Stary, zgrzybiały, ocieężały robociarz powolnym krokiem posuwa się między dwiema olbrzymiami, wysokimi scianami, które ciągną się w dal nieskończoną. Za rękę prowadzi małego wnuczka, który pytającym wzrokiem ciekawie rozgląda się dokoła. Z poza murów padają kwiaty i liście, co wskazuje, że tam, za wysokimi murami, nastala już wiosna. Dziecko pyta dziadka, czy droga, którą idą, zaprowadzi ich do tej krainy kwiatów i słońca. Ale w oczach starca nie można wyczytać odpowiedzi. Wzrok utkwił on w jakimś dalekim punkcie. Pójdzie on dalej między wysokimi murami. A dziecko—gdy dorośnie i zestarzeje się—tak samo ciężkim krokiem sunąć będzie między olbrzymimi murami, prowadząc za rękę wnuka; podobnie też nie znajdzie odpowiedzi na pytanie chłopięcia, czy tam jest wiosna i czy oni dotrą do tej wiosennej krainy?

W ten sposób jako jedyne światło wśród mroku nocy pozostała pociecha, jaką sprawia religja, nadzieja lepszego życia poza grobem. Ale kapitalizm i tutaj poczynił spustoszenia: przyniósł masom t. zw. „uświadomienie“, a z nim w bardzo wielu krajach niewiarę. Wyjątkiem pod tym względem są Anglja i Stany Zjednoczone Ameryki.

Nie potrzeba niewątpliwie powtarzać, jaką straszną, dotkliwą klęskę sprawia, jeżeli z tego błotniste-go, monotonnego i pełnego cierpień życia, jakie zmuszony jest prowadzić proletarjat, usuniemy tę wiarę dziecinną, że do prześladowanych i uciśnionych należy królestwo niebieskie, gdzie biedakom będzie dwa razy lepiej, niż na ziemi. Jest to to samo, jak gdyby zdrowy, młody człowiek nagle ociemniał; jak gdyby ostatnia wieczorna zorza zniknęła z horyzontu,



a świat cały na wieki został pogrążony w ciemnościach.

\* \* \*

Mimowoli teraz nasuwa się pytanie, jaki wpływ na duszę proletariatu mogły wyrzucić tego rodzaju warunki życiowe? Jak oddziaływać musiała owa destrukcyjna robota, dokonana przez kapitalizm na duszę mas.

Sądzę — i nikt zapewne mi nie zaprzeczy — że pierwszym objawem tego wpływu jest olbrzymie bankructwo proletariatu pod względem duchowym i obyczajowym; że kapitalizm wytworzył dla proletariatu jakieś okropne pustkowie, w którym marnieją wszelkie wysiłki ducha.

Pustkowie w krainie moralności!

Nic dziwnego, że za jednym zamachem runął ów starodawny szacowny gmach zwyczajów i obyczajności, który w ciągu wieków wzniosła starodawna społeczność jako ochronę przed zwierzęciem tkwiącym w człowieku — nie też dziwnego, że, gdy rozpadły się te obronne mury, człek stanął naprzeciw człekowi, niby zwierz naprzeciwko dzikiej bestji, nie skrępowany niczym, gotów na wszystko. Przecież razem z całym zapasem owych uświęconych zwyczajów i obyczajowych przesądów zniszczone zostało wszelkie poczucie szacunku, który jedynie zdolny jest wytworzyć dobre pod względem społecznym i szlachetne nastroje ducha. Na jego miejscu rozpanoszył się bezwzględny cynizm, bezbożna zuchwałość, które wkradają się wszędzie tam, gdzie z jakichkolwiek powodów rozpadają się starodawne zapatrywania na świat, a na ich miejscu nie zostały postawione nowe. Wyrasta naród wżuty z wszelkiej obyczajności! Jakież to straszny obraz!

Proletariat

5.

Należy podziwiać jeszcze, że to pokolenie proletariatu, wzrastające w zupełnym opuszczeniu, nie zdziżyło jeszcze bardziej i że ogół tych nędzarzy wśród takich niegodnych człowieka warunków, jak widzieliśmy przed chwilą, wegietujący nie zmarniał do reszty.

Obok zmarnienia na gruncie moralnym zauważyć trzeba opuszczenie i osłepienie duchowe i umysłowe.

Jakiego zresztą innego oddziaływania można było oczekiwać, jeżeli dzieci od małości przykuwane są do roboczej taczki, jeżeli dorośli przy całodziennej a nawet całonocnej pracy wyczerpują zupełnie swoje siły, jeżeli wciąż przykuci są do codziennej roboty, która w tysiącu wypadków nie jest ożywiona żadną wznioślejszą myślą—jest zawsze mechaniczną w jednostajnym otoczeniu, pozbawionym wszelkich wrażeń natury! Wszystko tak jednostajne, monotonne—prawie obumarłe!

W takim otoczeniu muszą umierać wszelkie mające jakąkolwiek wartość uczucia! Okropna obojętność na wszystko opanowuje masy!..

Drepczą w swoim deptaku codziennej pracy, nie mając w sercu iskierki wiary w lepszą przyszłość. Nie stawiają też oporu swojemu losowi, nie buntują się: żadnej otuchy, żadnej nadziei! Nawet Bogu nie są oddani—tak, jakby dla nich nie istniał Bóg, w którego ręce mogliby złożyć siebie i swoje losy. Umysł ich stępiał zupełnie.

Przytępienie umysłu lub dzikość, stosownie do naturalnego usposobienia poszczególnej jednostki — oto pierwsze latorośle, które nowy pień kapitalizmu wypuścił i pędzi w górę!

Pewien promień światła na pustkę proletariackiego życia rzuca między innymi książka robotnika Karola Fischera, którą w swoim czasie wydał Paweł Göhre pod tytułem: „Osobliwości i wspomnienia



robotnika“. Są tam straszne, po prostu dech zapierające rzeczy. Monotonja robotniczego życia jest tam psychologicznie wytłumaczona przez użycie odpowiednich jednostajnych wyrażen i doskonale odmaltowana.

...„A potem około 10<sup>1</sup>/<sub>2</sub> godziny przyszedł kierownik budowy w celu kontroli..... potem musieliśmy usłuchać... potem mieliśmy dużo do roboty przez pół nocy... potem poszliśmy na kwaterę, aby napić się kawy... potem nadszedł pisarz... potem ja stanąłem przy piecu... potem... potem...“

To „potem“ powtarza się do nieskończoności, jednostajnie, bez najmniejszego rytmu. Poszczególne zdania padają, jak kropla deszczu, jak nieustanne, ciche uderzenia młota.

A jakie ograniczone kolisko spraw: dzienny zarobek, mieszkanie, choroba, spór z majstrem, awantury z szynkarką; w tym kole obracają się wszelkie myśli, wszelkie uczucia.

Pewnego dnia zakazano mu łowienia wędką ryb w stawie — z tego powodu urągania i przekleństwa i to już stanowi pewnego rodzaju urozmaicenie wiecznej jednostajności w opisie codziennego życia.

W rzeczywistości zaś jakaż z tej książki przebija unizoność, jakaż uległość do ostatniej chwili, aż nareszcie, gdy zniedołężniał zupełnie, gdy go dyrektor za bramę wyrzuci, biedny robotnik wybucha długo tłumionym gniewem i ciska gradem bezsensownych przekleństw.

To już nie jest mowa człowieka, to ryk jucznego bydłęcia. To nie jest bieg życia człowieka, to wegietowanie półzwierzęcia, które zawsze jest zgarbione, wystraszone, nie śmie nawet oddychać.

Jednakże miało być inaczej. W omdlałe ciało proletariatu wstąpiło nowe życie.

Już obecnie pojawiają się wśród proletariatu, przynajmniej w lepszych jego kołach, typowi jego

przedstawiciele, na których znać już pewien wpływ kultury. Wpatrując się w ich dusze, spostrzegamy już inne pierwiastki, różne od dotychczasowych cech charakterystycznych zwykłego proletariusza. Przedewszystkiem interesującą rzeczą będzie zbadać, jak odbija się specyficznie proletarjacka psyché w tym ukształtowaniu, o którym poniżej pragnę jeszcze kilka słów pomówić.

Na pierwszy rzut oka wyda się to rzeczą niezmiernie dziwną—po bliższym jednak zbadaniu zupełnie naturalną i zrozumiałą, że pierwszą struną duszy ludzkiej, która zadrgała w społecznym proletariuszu—były przedewszystkiem funkcje rozumu. Bezwątpienia psyché dzisiejszego proletariatu odznacza się wybitnie silnym postępem intelektualnego uzdolnienia. Przy bliższym badaniu, a więc, gdy jasno zdamy sobie sprawę z położenia, w którym robotnika los postawił—łatwo zrozumiemy, że ów silny, wyraźnie hipertroficzny rozwój organów rozumu objawia się w sposób zupełnie naturalny.

Poznaliśmy wyżej, że narodziny proletariatu są równoznaczne ze zburzeniem tysiąca starodawnych związków przeważnie uczuciowej, obyczajowej i patryjarchalnej natury; znika związek z ojczyzną, wioską rodzinną, rodziną, z dziedzicami, ze wspólnotą zawodową. Rozluźniają się wszelkie węzły autorytetu. Starodawne zapatrywania na zwyczaje i obyczaje znikają—znika więc wszystko, co człowiek społeczny nazywa „przesądzeniem z góry“. W końcu wyklucza się jeszcze Boga. Człowiek jest teraz szczęśliwie „wolny“—wolny w znaczeniu: „niczym nieskrępowany.“ Wolny w pojęciu Fausta, gdy w początkowych scenach chwali się:

„Nie dręczą mnie żadne skrupuły, ni zwątpienia.  
Nie boję się ani piekła, ani potęgi czarta.“

Wolny zatem od więzów sentymentalizmu, wolny od uczuciowości, wszelkiego obyczaju, przesądów—i wiary!



Od tego wolnego, to znaczy przedewszystkim zupełnie pustego dziecka ludzkości, jeżeli ma zastosować się do warunków życiowych, wymagamy przedewszystkim: rozwoju, obmyślenia, sądu—a więc czynności ducha, których podłożem musi być pewne wyszkolenie rozumu.

Już samo przebywanie proletarjusza w wielkich miastach lub na wzór wielkich miast zorganizowanych ogniskach przemysłowych—daje proletarjuszowi pewną zdolność racjonalnego sądenia. Na równi z innymi mieszczanami proletarjusz różni się od przywiązanego do ziemi wieśniaka przewagą czynności rozumowych nad objawami uczucia czy instynktu.

Następnie, jak wiemy, proletarjusz zmienia często miejsce pobytu. Żadna roślinka nie zdoła zakwitnąć, gdy korzonek wcześniej z ziemi wrywają i na inne miejsce przesadzają. Często zmiana ta jednak wpływa na rozwój zdolności umysłowych. Tłoczą się nowe wrażenia. Przymusowy wędrowiec spotyka wciąż nowych ludzi, widzi wciąż nowe zwyczaje i nawyki—zapoznaje się z nowymi metodami pracy. Wszystko to zmusza do tworzenia porównań, do wydawania sądów, mniejsza o to głębokich, czy powierzchownych.

Karykaturą takich nowoczesnych nomadów jest komiwojażer, którego całe życie upływa na ustawicznym porównywaniu i wydawaniu sądów. W mózgu takiego człowieka ustawicznie piekący żar słońca rozumu wysusza wszelkie naturalne uczucia.

Proletarjusz zmuszony jest starać się o swoje utrzymanie, na każdym kroku musi rozważać, każdą czynność obmyśleć. Nie wrasta w organizm swego zawodu tak, jak chłop starego autoramentu. Nie żyje tak spokojny o swój los, jak wieśniak. Od pierwszych chwil pracy zawodowej kłopotczy się o miejsce, bo żadnego nigdy nie jest pewien. Zawsze musi mieć w tym kierunku umysł wyteżony, bo codziennie może

usłyszeć, że traci miejsce, i codziennie musi być przygotowany na to, że na nowo trzeba będzie szukać kawałka chleba. W tym względzie musi polegać na własnej rozwadze i umiejętności. Mężczyzna, kobieta, chłopak, czy dziewczyna — nawet dziecko — w czasie poszukiwania pracy na nikogo liczyć nie mogą. A zatem dziecko proletariatu od wczesnej młodości przyucza się do stosownego używania swoich funkcji rozumu, które zresztą jedynie ze wszystkich zasobów ocalały w tym okropnym otoczeniu, w jakim wzrasta proletariusz.

Nakoniec rodzaj pracy zawodowej zmusza proletariusza do głębszej rozwagi. Praca robotnika dzisiejszego nie wymaga wysiłków ducha tam, gdzie stała się zupełnie mechaniczną czynnością; praca taka nie wymaga nawet wogóle myślenia. A przecież często robota maszynowa polega na obsłudze lub ustawianiu machin, aparatów, przyrządów i t. d. Tutaj osobnik musi pojmować mechaniczny i fizyczny związek poszczególnych części — tak jak w innym wypadku musi rozumieć proces chemiczny. W obu wypadkach zmuszony jest myśleć. Natomiast rodzaj jego czynności wyklucza naiwną, czy artystyczną, w każdym razie bezwiedną twórczość. Chłop za pługiem, który słucha śpiewu ptaków i chmur pyta, czy jutro będzie pogoda — rzemieślnik, który cyzeluje dzieło rąk swoich i patrzy, czy ono odpowiada danemu wzorowi lub bez wszelkiego namysłu kończy robotę na stary sposób, tak, jak do tego się przyzwyczaił — jakżeż odrębnie prowadzi życie w porównaniu z monterem fabryki maszyn, z szlifierzem z huty szklanej, z odlewaczem form w giserni, z wykwalifikowanym robotnikiem w elektrowni, z zecerem wielkich zakładów drukarskich, z maszynistą wreszcie, który pociąg prowadzi.

Pierwszą właściwością, którą każdy badacz zauważyć musi, jest żądza wiedzy u proletariusza, tak



charakterystyczna w dzisiejszych kołach robotniczych, co łatwo wytłumaczyć można jednostronnym rozwojem funkcji umysłowych. Ujawnił się tutaj ogólny zresztą rys charakteru każdego mieszkańca miasta, mianowicie dążenie do jak najszerszego wykształcenia. Wyraz „wykształcenie“ znaczy tutaj: w pierwszym rzędzie nagromadzenie pewnego zasobu wiadomości, zamieszczonych w książkach, a więc takich, które przetrawione zostały przy pomocy myślenia. Nie pogląd na rzeczy nęci tych ludzi, nie uczuciowo-instynktowne ujęcie rzeczywistości jest celem ich dążenia—nawet nie działanie i tworzenie jest potrzebą ich serca, lecz wyłącznie „poznanie“, a więc wypracowanie pewnego systemu pojmowania. Świat i ludzie, jako tacy, nie wywierają na mieszczucha już czaru, ale nęci go „teorja“ o powstaniu świata i ludzi: umysł dziecięcia bruku miejskiego zajmują nie kwiaty, lecz botanika, nie zwierzęta, lecz zoologja, nie dusza człowieka, lecz psychologja.

W intelektualnej istocie społecznego robotnika nietrudno zauważyć jeszcze inne właściwości psyche proletariatu, zwłaszcza jej praktyczne reagowanie na wszystko.

Silnie rozwinięty krytycyzm, który cechuje umysł dzisiejszego proletariusza, łatwo wytłumaczyć, jeżeli zważymy, że jest to wynik rzeczywistych stosunków życiowych proletariatu. Los postawił go w położeniu, w którym normalny człowiek absolutnie nie mógłby wytrzymać, w położeniu, wykluczającym absolutnie pożyteczne przepędzanie czasu, uniemożliwiający wszelkie zdrowe i racjonalne zatrudnienie ciała i ducha. Nie prowadzi życia czynu, co:

„Siły nasze odświeża, kęs chleba umila  
„I serce nasze czystym zdrojem spokoju napawa.“

Wszystko raczej wyprowadza z równowagi si-

ły jego ducha i ciała. Zarówno praca, jak wytchnienie wysusza szpik z jego kości.

W chorobliwy stan nerwowości wpada on nie tak, jak nasze piękne damy, które z nudów nie wiedzą, co robić ze sobą mają, lecz podobnie jak wzięci lekarze i adwokaci, którzy wyczerpują się szybko, ponieważ obarczeni są nadmierną pracą wśród najgorszych zewnętrznych warunków, a rozpraszają swoje siły żywotne, ponieważ czas po pracy spędzają na niemądrej, podniecającej zabawie. Różnica między nimi jest tylko ta, że na robotnika nigdy nie spływa to światło wiedzy, oświetlające umysł gorliwego pracownika z inteligencji, że pracowity robotnik nie pozna nigdy tej rozkoszy duchowej, jaką daje umysłowa praca, choćby najcięższa, pracownikowi wyższych warstw społecznych. Pozbawiony tego wszystkiego robociarz wyczerpuje się wewnątrz, wyniszcza ciało, a przecież pozostaje w „deptaku“. Wreszcie wyradza się w nim zupełnie naturalnie zniechęcenie, które niebawem przy pomocy w wysokim stopniu rozwiniętego zmysłu krytycznego ze sfery głuchego nieprzyjemnego uczucia niesmaku rozwija się w świadome, krytycznie uzasadnione niezadowolenie.

Jednakże nieuniknioną rzeczą jest to, że na drodze owego wykształcenia i owego „krytycyzmu“ nie zawsze postępują prawidłowo umysły znacznej liczby proletariuszów, lecz zatrzymują się w połowie. Wykształcenie to bardzo często ztraca swoją żywotność, zasklepia się w ciasnych dogmatach i te dogmaty stara się przenieść w życie praktyczne. Wykształcenie to zasklepia się w szereg frazesów, którymi wypełniony bywa najczęściej umysł proletariusza.

Człowiek, który szczęśliwie wyzwolił się z niewoli przesądów i zabobonów i sądził, że jest zupełnie wolnym, teraz wpadł znowu w gęstą sieć posłyszanych gdzieś teorii, w której niemniej trudno mu



poruszać się, jak dziecku natury skutemu łańcuchem tradycyjnych wierzeń.

Siec takich pojęć nazywa się rozmaicie: ateizm, darwinizm, walka klas, antysemityzm, międzynarodówka, wyzysk pracodawców, społeczna rewolucja. Mniejsza zresztą o nazwę; dość, jeżeli robotnik zapłatał się w jedną z takich sieci.

Można śmiało powiedzieć, że w masie proletariatu wydoskonalila się pewna szczególnie charakterystyczna cecha społecznego człowieka: ciasny dogmatyzm. Proletariusz, mimo całej swej dążności do zdobycia wiedzy, mimo swojego krytycznego usposobienia, a raczej może mimo tych właściwości, a z pewnością dzięki hipertrofji rozumu, społeczny proletariusz, powtarzam, jest urodzonym dogmatykiem.

Jeszcze jedna strona proletarjackiej psyche, nie mniej zasadnicza, jak poprzednia, zasługuje na bliższe zbadanie.

Widzieliśmy, jak proletariusz został wyrwany wszystkim związkom, które utrzymywały ład w dawniejszych pokoleniach, widzieliśmy, jak w osamotnieniu idzie swoją drogą. Teraz musimy sobie przypomnieć, że jednocześnie kapitalizm wytworzył zewnętrzną bardzo ścisłą styczność proletariusza z towarzyszami doli i niedoli.

Ludność nigdy przedtem nie mieszkała jeszcze w takim masowym skupieniu, nie pracowała w tak olbrzymiej gromadzie.

Każdy proletariusz, gdziekolwiek się obróci, spotyka dziesiątki, setki, tysiące podobnych sobie jednostek, z którymi koniecznie musi wejść w pewną styczność, skoro mieszka w sąsiedztwie, na jednym piętrze, skoro pracuje w jednej hali fabrycznej.

Proletariusz jest samotny, ale nie odosobniony, tak jak chłop na wsi, który, przeciwnie, jest odosobniony, ale nie samotny.

Wrodzony przeciętnemu człowiekowi popęd do-

prowadza w końcu do tego, że między sąsiadami następuje pewnego rodzaju zbliżenie.

Towarzysze pracy łączą się najpierw w pewnym oznaczonym celu, mianowicie tworzą towarzystwa śpiewacze, kręgielniane, gimnastyczne, zawodowe wreszcie.

Na miejscu dawnej, tradycyjnej, samorodnej wspólnoty występują świadomie i celowo organizowane stowarzyszenia. Jednakże proletariusz w tych nowych związkach jeszcze wciąż jest drobnim ziarnkiem, nieznaczącym ziarnkiem piasku, które leży nieorganicznie wśród innych jako czysta, bezjakościowa wielkość.

Wszystkim tym związkom brak owego jedynego w swoim rodzaju kolorytu, jaki posiadały dawne wspólnoty miejskie, wiejskie i poszczególne związki zawodowe i rodzinne.

W związkach nowoczesnych poszczególne człowiek zbliża się do grupy innych ludzi, z którymi naprawdę nie łączy go nic prócz jednakowego uczucia próżni i pustki, prócz jednakowego osamotnienia i odosobnienia.

To będzie zatem źródło proletarjackiego dążenia do łączności, mającej specjalny charakter, oznaczającej mianowicie jedynie przynależność do ogółu, a ogół pojmującej wyłącznie jako olbrzymią masę ludzi.

Chwilowo, gdy proletarijat prowadzi walkę, specjalne to dążenie do łączności objawia się jako t. zw. świadomość klasowa. Psychologicznego źródła tej świadomości klasowej należy szukać głębiej i właśnie we wskazanej przez nas świadomości masowej. Tylko bowiem zupełne zerwanie wszelkich szczególnych związków, objawiających się w tej formie, jaka wytworzyła się w historycznie przekazanych grupach, utorowały drogę, po której może kroczyć rozbudzona świadomość klasowa.



W tym poczuciu przynależności masowej i klasowej mieszczą się wszelkie zarodki nowej zupełnie etyki, której pojęcie zaczyna rozwijać proletarjat. Poczucie solidarności, ofiarność, karność, podporządkowanie się pewnemu kierownictwu i wielu innych objawów tłumaczy się po części stanem bojowym, w którym znajduje się proletarjat, po części szacunkiem wobec potęgi ogółu, nowego bóstwa, do którego modli się proletarjusz. Tak jak pobożny człowiek szuka ratunku na swoje cierpienia w zupełnym oddaniu się Bogu i w tym akcie pokory odnajduje siebie znowu jako pewną wartość ogólnej całości, podobnie każdy proletarjusz podnosi ducha przez przynależność do ogółu i tylko w nim nabywa znaczenia i wagi. Sam w sobie czuje się niczym; nie ma znaczenia ani jako członek gminy wiejskiej, ani jako mieszkaniec miasta, ani jako członek rodziny, ani jako zawodowiec, ani tymbardziej jako jednostka. Odczuwa swoją wartość tylko jako jeden wśród wielu, jako wielkość, która sama w sobie nie znaczy nic, lecz musi być postawiona obok innych wielkości, aby coś przedstawiać, coś znaczyć.

Może być jednakże łatwo podsumowany, ponieważ w rzeczywistości jest bezjakościową ilością, której odebrano wszelkie cechy stanowe, rodzinne, zawodowe, lokalne, krajowe i osobiste.

Chłop czy rzemieślnik, wieśniak z Turyngji, Tyrolu, czy Szląska, gospodarz bogaty, czy mniej zamożny, czy nawet chałupnik tylko, a dalej krawiec, czy szewc, górnik czy garbarz starodawny—każdy z nich jakież to typ odrębny i ciekawy w porównaniu z proletarjuszem międzynarodowym, który na całym świecie, w Londynie, czy w Rzymie, w Moskwie, czy w Paryżu, jest tą samą, bezbarwną figurą, tym samym fotograficznym odbiciem społecznej „kultury“.

Teraz rozumiemy już doskonale, dla czego spół-

czesny proletariusz jest prawdziwym „ζωον πολιτικον“, „zwierzęciem politycznym.“

Wszystkie właściwości, które zauważyliśmy w ukształtowaniu się jaźni proletariusza, pchają go w objęcia polityki. Prywatne życie jego jest jałowe, w pracy znoonej, ani w szczęściu rodzinnym nie znajduje zadowolenia swoich pragnień. Biedak zawsze jest niekontent ze swojego położenia, wskutek czego staje się istotą skłonną do krytycyzmu i przejmowania się pierwszą lepszą teoryjką.

Wierzy on święcie, że przyczyną jego nędzy jest pewien ściśle określony ustrój zewnętrznych wzajemnych stosunków między ludźmi. Czuje on pewną wspólność z licznymi, podobnymi towarzyszami, którzy odczuwają te same niedogodności, tę samą tęsknotę, tak samo skłonni są do krytykowania i tłumaczenia doli i niedoli życiowej; on zawsze czuje, że jest ziarnem w jednej, olbrzymiej kupie piasku.

Cóż dziwnego, że w takich warunkach łączy się z towarzyszami w celu podjęcia wspólnej akcji,—cóż dziwnego, że swoje skupienie widzi w skupieniu pod jednym sztandarem olbrzymiej masowej potęgi, która ma zdobyć inny ustrój wewnętrzny dla całego społeczeństwa. Jest na tyle inteligentnym, że może czytywać gazety, przysłuchiwać się mówcom ludowym, rozprawiać nad rozmaitemi wnioskami.

Półowiczne zaś wykształcenie czyni go skłonny do wierzenia pierwszym lepszym, górnolotnym, konwencjonalnym frazesom, bez których żadna polityka obejść się nie może.

Oczywiście polityka proletariusza jest na wskroś radykalną w podwójnym znaczeniu, zarówno w nieposzanowaniu tradycji, jak w skłonności do doktrynerstwa.

Tradycji szanować on się nie nauczył, bo jest bezdomnym, wiecznym tułaczem; doktrynerem musiał zostać, bo polem działania wszystkich fantastycznych apostołów szczęścia ludzkiego i wszystkich niedono-



szonych i zupełnie niewykształconych demagogów, w których sieci znajduje się niechybnie tłum dzisiejszy, jest doktrynerstwo.

Doszliśmy w ten sposób do punktu zwrotnego, w którym zaczyna się ruch proletariatu, zwany socjalizmem.

Opis tego zjawiska przekracza ramy, określone dla pracy niniejszej.

---



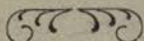








<b>Mataja.</b> Wielkie magazyny i drobny handel . . . . .	— 50
<b>Menzel E.</b> Systemy prawa wyborczego . . . . .	— 15
<b>Pietkiewicz.</b> Siły i środki ludu naszego . . . . .	1 35
<b>Poradnik dla samouków</b> Część III. Nauki społeczne i ekonomiczne . . . . .	— 80
<b>Posner S.</b> Japonja. Państwo i prawo . . . . .	— 80
„ Nauki społeczne w szkole wyższej . . . . .	— 60
<b>Przepisy</b> o wynagrodzeniu robotników . . . . .	— 15
<b>Rundstein Sz.</b> O skutkach karnych zerwania umowy pracy . . . . .	— 30
<b>Rutkowski.</b> Co zdobyli pracownicy rolni w Galicji, a do czego powinni dążyć w Król. . . . .	— 10
<b>Sombart.</b> Proletariat . . . . .	— 40
<b>Thomas.</b> Związki zawodowe w Niemczech . . . . .	— 35
<b>Z. J.</b> Kwestja kobieca . . . . .	— 20



# KSIEGARNIA NAUKOWA

Krucza 44, — W WARSZAWIE, — Krucza 44.

## POLECA NASTĘPUJĄCE DZIELA:

	Rb. K.
Arosz N. D. w pierwszej Dumie . . . . .	— 20
Bellamy. W wieku XXI . . . . .	— 50
Bücher K. Szkice ekonomiczne . . . . .	— 80
Chomicz. Pożary i samorząd . . . . .	— 80
Czechow. Wolna szkoła. . . . .	— 20
Daszyńska-Golińska Z. Teoretyczne podstawy polityki ekonomicznej . . . . .	— 50
Daszyńska Golińska Z. Alkoholizm i społeczeń- stwo . . . . .	— 10
Duolaux E. Higjena społeczna . . . . .	— 60
Fagnot. Związki zawodowe w Anglii . . . . .	— 30
Gide K. O kooperatywach spożywczych . . . . .	1 —
Gorkij. Zburzona tama . . . . .	— 05
Kautsky K. Narodowość i jej początki . . . . .	— 10
„ Kwestja rolna w Rosji . . . . .	— 10
Koszutski St. Rozwój ekonomiczny Królestwa Polskiego w ostatnim 30-leciu . . . . .	3 —
„ Nasz przemysł wielki na po- czątku XX stulecia . . . . .	— 80
Konic H. Dzieje prawa małżeńskiego w Król. Polskim . . . . .	2 —
Kowalewski. Zarys początków i rozwoju rodziny i własności . . . . .	1 —
Krauz K. Portrety zmarłych socjologów . . . . .	1 20
„ Demokracja w nowoczesnym ustroju państwowym . . . . .	— 50
Krusiński St. Szkice ekonomiczne . . . . .	— 60
Krzywicki L. Kwestja rolna . . . . .	2 50
„ Stowarzyszenia spożywcze . . . . .	1 50
Kulczycki. Związek postępowo - demokra- tyczny . . . . .	— 10
Lafargue. Praca umysłowa wobec maszyny . . . . .	— 20
Lutostański K. Z badań nad pierwiastkiem pryw. i publ. w procesie cywilnym. . . . .	1 50

(Ciąg dalszy na poprzedniej stronie).